

Siła i opinia

Noam Chomsky

Spis treści

Po stronie przemocy	4
Ogłupiałe stado i jego pasterze	6
O krok od użycia siły	16
Kryterium pragmatyczne	20
Zakres środków	22
Niepokorne masy	27

W swoim studium szkockiej tradycji intelektualnej George Davie wskazuje, że jej centralnym motywem jest uznanie fundamentalnej roli „naturalnych przekonań lub zdroworozsądkowych zasad, takich jak wiara w istnienie niezależnego zewnętrznego świata, wiara w związek między przyczyną i skutkiem, wiara w idealne standardy oraz przekonanie, że jaźń lub świadomość są czymś odrębnym od reszty tego, czym jest człowiek”. Uważa się niekiedy, że te zasady mają charakter regulatywny. Zdaniem niektórych – pisze Davie – idee te zawierają „nieredukowalny element tajemnicy”, podczas gdy inni mają nadzieję znaleźć dla nich racjonalne uzasadnienie. Ta kwestia nadal czeka na rozsądzenie.

Rozważania te zapoczątkowali siedemnastowieczni myśliciele w odpowiedzi na kryzys, do którego prowadził konsekwentny sceptycyzm. Uznali oni, że chociaż nie ma absolutnie pewnych podstaw wiedzy o świecie, to jednak mamy sposoby pozwalające rozumieć świat, doskonalić to rozumienie i wykorzystywać je w praktyce. Ta myśl leży u podstaw współczesnej nauki. Podobnie racjonalny człowiek polega na tych naturalnych przekonaniach czy zdrowym rozsądku w codziennym życiu. Zdając sobie sprawę z ich ograniczeń i omyłności, stara się je precyzować i dostosowywać w miarę, jak uczy się lepiej rozumieć świat.

Zdaniem Daviego największy wpływ na taki kształt szkockiej filozofii wywarł David Hume, który – mówiąc ogólnie – nauczył filozofów, jakie pytania warto zadawać. Jeden ze sformułowanych przez Hume’a problemów jest szczególnie istotny dziś. W eseju *Of The First Principles of Government* Hume stwierdza, że „nic bardziej nie zaskakuje” od „łatwości, z jaką wielu pozwala, by rządzili nimi nieliczni; i od niemej uległości, z jaką ludzie wyrzekają się własnych przekonań i namiętności, a przekonania i namiętności władców przyjmują za swoje. Gdy dociekamy przyczyn tego niepojętego stanu rzeczy, zauważamy, że o ile siła zawsze leży po stronie rządzonych, o tyle rządzący wspierają się jedynie na opinii. Jedynym oparciem dla władzy jest więc opinia rządzonych, a dewiza ta dotyczy zarówno despotycznych i militarnych form rządów, jak i najbardziej wolnych i popularnych”.

Hume był przenikliwym obserwatorem, a jego paradoks o naturze władzy jest w dużej mierze trafny. Wyjaśnia niezwykle ważny, a często pomijany motyw współczesnej historii: dlaczego elity tak upodobały sobie mechanizmy indoktrynacji i kontroli myśli. „Lud musi znać swoje miejsce” – pisze Walter Lippmann, abyśmy mogli „żyć bez lęku, że strąca nas ogłupiające stado”, którego powołaniem jest rola „zainteresowanej publiczności”, a nie uczestników wydarzeń. Skoro państwo nie ma dość siły, by stosować przymus bezpośredni, a w konsekwencji lud dochodzi niekiedy do głosu, należy dopilnować, by głos ludu zawsze mówił to, czego życzy sobie władza. To rada, jakiej od lat udzielają rządzącym poważani intelektualiści.

Spostrzeżenie Hume’a nasuwa szereg pytań. Pierwsza wątpliwość wiąże się ze stwierdzeniem, że siła zawsze leży po stronie rządzących. Rzeczywistość nie napawa takim optymizmem. Historia ludzkości zdaje się raczej potwierdzać przeciwną tezę, wypowiedzianą sto lat wcześniej przez zwolenników parlamentaryzmu, którzy sprzysięgli się przeciwko władzy królewskiej, ale przede wszystkim przeciwko ludowi: „potęga miecza jest i zawsze była fundamentem wszelkiego tytułu do władzy”. Siła ma też subtelniejsze przejawy. Władza dysponuje wieloma środkami i nie musi uciekać się do nagiej przemocy, by karać tych, którzy wymawiają jej posłuszeństwo. Tym niemniej, paradoks Hume’a jest realny. Nawet

despotyczne ustroje opierają się zwykle na pewnej dozie przyzwolenia rządzonych; a charakterystyczną cechą społeczeństw o szerszym zakresie wolności jest tendencja do zrzekania się praw. Warto przyjrzeć się temu zjawisku bliżej.

Po stronie przemocy

Brutalną stronę tej prawdy wyraźnie ilustruje historia masowych ruchów społecznych lat osiemdziesiątych. Rządy państw satelickich wobec Związku Radzieckiego opierały się na sile, nie na opinii. Gdy tej siły zabrakło, kruche totalitaryzmy rozpadły się, w większości wypadków bez rozlewu krwi. Ten niebywały sukces wywołał w niektórych euforię. Kiedy policja i wojsko powstrzymały się przed zdławieniem rewolty w Czechosłowacji, Václav Havel przypisywał zwycięstwo potędze „miłości, tolerancji, wyrzeczenia się przemocy, człowieczeństwa i przebaczenia”. Ta myśl może podnosić na duchu, ale jest złudna, czego dowodzi nawet pobieżny rzut oka na historię. Decydującym czynnikiem nie była jakaś nowa forma miłości i pokojowego protestu; na tym polu nie osiągnięto nic nowego. Decydujące było wycofanie radzieckich sił wojskowych, a w konsekwencji załamanie się opartych na nich struktur przymusu. Kto sądzi inaczej, może zapytać o zdanie ducha arcybiskupa Oscara Romero, zamordowanego w 1980 roku w Salwadorze, i wielu innych, którzy nieugiętemu terrorowi władzy usiłowali przeciwstawić człowieczeństwo.

Ostatnie wydarzenia w Europie Środkowej i Wschodniej są rzadkim wyjątkiem od historycznej normy. Na przestrzeni całej nowoczesnej historii ruchy ludowe motywowane demokratycznymi ideałami przeciwstawiały się autokratycznej władzy. Niekiedy udawało im się rozszerzyć pole wolności i sprawiedliwości, zanim zostały przywołane do porządku. Często były po prostu miażdżone. Trudno wskazać inny przykład sytuacji, kiedy silnie umocowana władza ustąpiłaby pod naporem opinii publicznej. Równie nietypowe jest zachowanie wpływowego supermocarstwa, które nie tylko nie udaremniło tych zmian, jak niejednokrotnie czyniło w przeszłości, ale wręcz zachęcało do nich i wprowadzało je także na własnym terytorium.

Historyczną normę ilustruje zgoła odmienny przypadek Ameryki Środkowej, gdzie każdy ludowy zryw przeciwko brutalnej tyranii oligarchów i wojska kończył się krwawą masakrą, wspieraną lub organizowaną bezpośrednio przez mocarstwo władające tą półkulą. Dziesięć lat temu pojawiły się oznaki nadziei na zakończenie mrocznej ery terroru i udręki. Zaczęły powstawać grupy samopomocowe, związki zawodowe, rolnicze kooperatywy, stowarzyszenia chrześcijańskie i inne oddolne organizacje, dążące do demokracji i reform społecznych. Na perspektywę takich zmian Stany Zjednoczone i ich klienckie rządy, wspierane przez sojuszników z Europy, odpowiedziały brutalną kampanią rzezi, tortur i wszelkich potworności, która wywołała wśród ludności „panikę i przerażenie”, „zbiorowe zastraszenie i wszechogarniający lęk”, a ostatecznie spowodowała „wewnętrzną akceptację terroru”, według relacji jednej z wyznaniowych organizacji obrońców praw człowieka w Salwadorze. Gdy tylko rząd Nikaragui podjął pierwsze próby przeznaczenia państwowych środków na poprawę bytu ubogiej większości mieszkańców, Stany Zjednoczone rozpiętały

gospodarczą i ideologiczną wojnę, która przeistoczyła się w rządy jawnego terroru. Karą za nieposłuszeństwo była gospodarcza i społeczna ruina kraju.

W oświeconej opinii Zachodu skutki tej polityki były pomyślne, o ile wyzwanie rzucone władzy i przywilejom elit zostało odparte, a cele wybrane prawidłowo. Mordowania powszechnie szanowanych księży nie uznaje się za zręczne posunięcie, ale chłopscy aktywiści i przywódcy związkowi są już uprawnionym celem ataku – a tym bardziej zwykli chłopci, Indianie, studenci i reszta społecznych nizin. Wkrótce po zabójstwie kilku jezuitów w listopadzie 1989 roku w Salwadorze korespondent agencji Associated Press, Douglas Grant Mine, donosił w depeszy zatytułowanej „Druga masakra w Salwadorze”, że oddział wojska wkroczył do dzielnicy robotniczej, pojmał sześciu mężczyzn, postawił pod ścianą i zamordował. Na koniec żołnierze zabili jeszcze czternastoletniego chłopca. „Nie było wśród nich kapłanów ani obrońców praw człowieka, więc ich śmierć pozostała niezauważona” – pisał Mine. Jego relację spotkał ten sam los.

Alan Nairn, korespondent w Ameryce Środkowej, pisał: „W tym samym tygodniu, w którym zamordowano jezuitów, w podobny sposób zginęło też co najmniej 28 cywilów. Wśród nich był przywódca związku pracowników zakładów wodociągowych, przywódczyni organizacji pracownic akademickich, dziewięcioro członków indiańskiej spółdzielni rolniczej i dziesięcioro studentów (...) Skrupulatne dochodzenie w sprawie mordów w Salwadorze prowadzi prosto do Waszyngtonu”. Wszystko to jest „w pełni właściwe”, więc niewarte wzmianki ani zainteresowania. Każdy kolejny tydzień dopisuje nowy rozdział tej historii.

Podobieństwo radzieckiej strefy wpływów do amerykańskiej jest czymś najzupełniej oczywistym i wręcz banalnym dla wszystkich poza ograniczonymi kulturalnie środowiskami Zachodu. Julio Godoy, gwatemalski dziennikarz, który musiał uciekać z kraju, gdy wspierani przez rząd terroryści podłożyli bombę w redakcji jego tygodnika La Epoca (co umknęło zainteresowaniu amerykańskich mediów), twierdzi, że mieszkańcy Europy Wschodniej „mają więcej szczęścia niż mieszkańcy Ameryki Środkowej”: „narzucony przez Moskwę rząd w Pradze poniżał i upokarzał reformatorów, a narzucony przez Waszyngton rząd Gwatemali mordował ich i nadal morduje. Mamy tu do czynienia praktycznie z ludobójstwem, którego ofiarami padło już 150 tysięcy ludzi (...) Amnesty International nazywa to rządowym programem zabójstw politycznych”. To, jego zdaniem, „wyjaśnia, dlaczego studenci demonstrujący w Pradze zdają się nieustraszeni (...) Armia czechosłowacka nie strzela, by zabić. W Gwatemali, nie wspominając już o Salwadorze, rządy zwalczają związki zawodowe i organizacje chłopskie aktami wymierzonego na oślepu terroru”. Dodajmy, że także likwidują lub zmuszają do posłuszeństwa dziennikarzy, dzięki czemu zachodni liberałowie nie muszą się martwić, że w „młodych demokracjach”, którym sekundują, prasa podlega cenzurze.

Godoy cytuje słowa europejskiego dyplomaty: „dopóki Amerykanie nie zmienią swojego stosunku do tego regionu, nie będzie tu miejsca ani na prawdę, ani na nadzieję”. Ani tym bardziej na miłość i pokojowy opór.

Długo trzeba szukać, by przeczytać o tych oczywistych faktach w prasie amerykańskiej czy ogólnie zachodniej. Tu preferuje się nic nie wnoszące (choć schlebające miłości własnej) porównywanie Europy Wschodniej z Zachodnią. Za temat nadający się do poważnej

debaty publicznej nie uważa się również wielkiej katastrofy kapitalizmu ostatnich lat, której tragiczne skutki są odczuwane w Ameryce Łacińskiej i innych dominiach uprzemysłowionego Zachodu, w „wewnętrznym Trzecim Świecie” Stanów Zjednoczonych i w „wyeksportowanych slumsach” Europy. Nie doszukamy się także analiz trudnego do przeoczenia faktu, że sukcesy gospodarcze zwykle opierają się na koordynacji działań między władzą państwową a konglomeratem finansowo-przemysłowym, co jest kolejną oznaką upadku kapitalizmu na przestrzeni ostatnich 60 lat. Tylko Trzeci Świat ma być poddany niszczycielskim siłom wolnego rynku, tak aby możni mogli łatwiej rabować i eksploatować jego bogactwo.

Historyczną normę stanowią losy Ameryki Środkowej, nie Europy Wschodniej. Spostrzeżenie Hume’a wymaga tej poprawki. Kiedy jednak weźmiemy to pod uwagę, pozostanie istotną prawdą to, że władza opiera się zwykle na posłuszeństwie egzekwowanym środkami innymi niż przemoc, nawet tam, gdzie przemoc pozostaje ostatnią deską ratunku.

Ogłupiało stado i jego pasterze

W czasach współczesnych spostrzeżenie Hume’a pozostaje aktualne – z jednym istotnym uzupełnieniem: kontrola myśli jest ważniejsza w krajach wolnych i demokratycznych niż tam, gdzie władzę sprawują despoci lub junty wojskowe. Logika jest prosta. Despotyczna władza państwowa może uciekać się do przemocy, by trzymać wrogów wewnętrznych pod kontrolą. Gdy jednak państwo odstępuje od stosowania przemocy, musi wynaleźć inne metody zagwarantowania, że ciemne masy będą się trzymać z dala od spraw publicznych, do których nie powinny się wtrącać. Ta wyraźna cecha politycznej i intelektualnej kultury współczesnego świata jest warta bliższej analizy.

Problem przywoływania ludu do porządku, by „znał swoje miejsce”, ujawnił się z całą mocą w okresie, który niektórzy historycy nazywają „pierwszym w historii wielkim wybuchem myśli demokratycznej”. Chodzi o rewolucję w siedemnastowiecznej Anglii. Wraz z przebudzeniem szerokich mas społecznych pojawiło się pytanie, jak powstrzymać to zagrożenie.

Tak zwani „poważani obywatele” uważali wolnościowe idee radykalnych demokratów za skandaliczne. Demokraci żądali powszechnego dostępu do edukacji, gwarantowanej przez państwo opieki lekarskiej i demokratyzacji prawa, w którym jeden z nich widział lisa, a biedni byli jak gęsi: „lis skubie je z pierza, by wreszcie pożreć”. Rozwinęli swego rodzaju „teologię wyzwolenia”, która zdaniem jednego z krytyków „głosiła wśród ludu wywrotową doktrynę”, usiłowała „wciągnąć awanturnicze pospólstwo w najrozmaitsze układy (...) przeciw lordom, ziemiaństwu, duchownym, prawnikom, osobom majątnym i pokojowo usposobionym” i miała sprawić, że lud „powstanie przeciwko najbardziej wartościowym obywatelom królestwa” (siedemnastowieczny historyk Clement Walker). Szczególnie groźni wydawali się wędrowni robotnicy i kaznodzieje wołający o wolność i demokrację, agitatorzy podburzający tłum i drukarze, których broszury kwestionowały władzę i jej sekrety. „Żadna forma rządów nie może istnieć bez właściwych sobie tajemnic”, których należy

strzec przed ogółem – przestrzegał Walker: „Ignorancja i respekt, jaki z tej ignorancji płynie, to matka i ojciec obywatelskiego oddania i posłuszeństwa” – echo tej myśli powraca u Dostojewskiego w opowieści o wielkim inkwizytorze. Radykalni demokraci „rzucili wszystkie tajemnice i sekrety władzy (...) prostakom przed oczy jak perły przed wieprze” – pisał, a czyniąc to, „rozbudzili wśród ludu ciekawość i arogancję, tak że ten już nigdy nie odzyska dość pokory, by poddać się praworządnej władzy”. Robi się niebezpiecznie, niepokoił się inny komentator, „gdy lud pozna własną siłę”. Motłoch już nie chciał, by rządził nim król czy parlament, ale „ludzie tacy jak my, którzy znają nasze potrzeby”. Rozpowszechniane wśród ludowych mas ulotki głosiły: „Nie będzie dobrze na świecie, póki panowie i szlachta ze strachu przed nami stanowią prawa, które nas uciskają, i póki rządzą nami ci, którzy nie znają ludzkiej krzywdy”.

Tego rodzaju idee z oczywistych przyczyn napełniały „najbardziej wartościowych obywateli” grozą. Byli gotowi udzielić ludowi pewnych praw, ale w granicach rozsądku i pod warunkiem, że „kiedy mówimy o ludziach, nie mamy na myśli zdezorientowanych, rozwiązanych ludzkich mas”. Gdy demokratów pokonano, John Locke pisał, że „robotnikom i kupcom, prządkom i mleczarkom” trzeba mówić, co mają myśleć. „Większość musi wiedzieć, bo nie dane jej jest wiedzieć”.

Podobnie jak John Milton i inni ówczesni liberałowie hołdował wolności słowa w bardzo ograniczonej formie. Jego Konstytucja dla Karoliny surowo zabraniała „przemawiać na nabożnych zgromadzeniach w sposób zuchwały lub podżegać przeciwko rządowi, gubernatorom i sprawom wagi państwowej”. Konstytucja gwarantowała swobodę „spekulacji religijnej natury”, ale nie poglądów politycznych. „Locke nie zamierzał dopuścić, by zwykli ludzie wypowiadali się w sprawach publicznych” – pisał Leonard Levy. W dokumencie zapisano ponadto, że „surowo zabrania się wygłaszania jakichkolwiek komentarzy i interpretacji dotyczących tej konstytucji, dowolnej jej części, prawa zwyczajowego lub stanowionego w stanie Karolina”. W 1694 roku, argumentując przed obliczem angielskiego parlamentu za zniesieniem cenzury, Locke nie powoływał się na wolność słowa i myśli, a jedynie na względy praktyczne i szkody dla interesów kupieckich. Gdy zagrożenie demokracją minęło, a otumaniony wolnościowymi ideami motłoch rozpierzchnął się, Anglia pozwoliła sobie na pewne odstępstwa od cenzury, ponieważ „ci, którzy kształtowali opinię publiczną (...) cenzurowali sami siebie. Nie trafiało do druku absolutnie nic, co mogłoby zagrozić posiadaczom majątku” – uważa Christopher Hill. W sprawnie funkcjonującej demokracji państwowo-kapitalistycznej, jaką są Stany Zjednoczone, skrzętnie ukrywa się przed opinią publiczną wszystko, co mogłoby zagrozić interesom posiadaczy – niekiedy z zadziwiającą skutecznością.

Tego rodzaju idee odbijają się głośnym echem do dziś. Dotyczy to także surowej doktryny Locke’a, zabraniającej pospółstwu nawet dyskusowania o sprawach publicznych. Doktryna ta pozostaje naczelną zasadą współczesnych demokracji. Wdrażana jest dziś różnymi metodami, które mają chronić sekrety funkcjonowania państwa przed okiem opinii publicznej, takimi choćby jak utajnianie dokumentów pod (zwykle fałszywym) pretekstem bezpieczeństwa narodowego, tajne operacje służb specjalnych i inne sposoby pozwalające trzymać pospółstwo z dala od politycznej areny. Metody takie często przybierają na sile

pod rządami etatystycznych reakcjonistów w stylu Ronalda Reagana i Margaret Thatcher. Te same idee określają zasadnicze zadania zawodowe i ramy odpowiedzialności intelektualnej elity, która ma za zadanie kształtować postrzeganie historii i aktualnego obrazu świata tak, by odpowiadało to interesom ludzi potężnych, a należycie otumaniona opinia publiczna znała swoje miejsce i swoje zadanie.

W latach pięćdziesiątych XVII w. zwolennicy sojuszu parlamentu i wojska przeciwko ludowi z łatwością potrafili wykazać, że motłochowi nie można ufać. Dowodziły tego nieustające ciągoty do monarchii i niechęć do oddania swoich spraw w ręce szlachty i wojska. Szlachta i wojsko stanowiły bowiem „prawdziwy lud”, chociaż ludowe masy w swym kołtuństwie uważały inaczej. Ludzkie masy to „bezrozumne mrowie”, „bestie w ludzkiej skórze”. Dla ich własnego dobra trzeba je trzymać w ryzach, podobnie jak wtedy, gdy „ktoś wbrew woli obłąkańca ratuje mu życie”. Skoro lud jest tak „zepsuty i zdeprawowany”, że „wynosi na stanowiska władzy i zaufania publicznego nikczemne i niegodne tego zaszczytu jednostki, sam pozbawia się samostanowienia w tym zakresie na rzecz ludzi prawych, choćby byli oni nieliczni”.

Ci nieliczni prawi ludzie mogą rekrutować się spośród ziemiaństwa czy przemysłowców, z partyjnej awangardy czy Komitetu Centralnego albo spośród intelektualistów nazywanych „ekspertami”, gdyż (parafrazując cenną myśl Henry’ego Kissingera) to oni artykułują „porozumienie elit”. To oni zarządzają korporacyjnymi imperiami, ideologicznymi instytucjami i politycznymi strukturami, bądź służą im na rozmaitych szczeblach hierarchii. Mają być pasterzami ogłupiałego stada i utrzymywać bezrozumne ludzkie mrowie w niewidzialnych ryzach posłuszeństwa. Wszystko po to, by zatarasować pospólstwu drogę do zgubnej wolności i samostanowienia.

Zbliżony sposób myślenia kierował hiszpańskimi odkrywcami, gdy po „odkryciu Ameryki”, pięćset lat temu, dokonali „największego ludobójstwa w historii ludzkości”, jak pisze Tzvetan Todorov. Ucisk i akty terroru usprawiedliwiali twierdzeniem, że rdzenni mieszkańcy „nie są zdolni rządzić sami sobą, tak samo jak nie są do tego zdolni ludzie opętani i dzięki zwierzęta, gdyż nawet ich strawa ani lepsza, ani bardziej pożywna od strawy dzikiej zwierzyny”, a ich głupota „przewyższa głupotę dzieci i szaleńców w innych krajach” (teolog Francisco de Vitoria, „jeden z filarów hiszpańskiego humanizmu XVI wieku”). Interwencja jest więc uzasadniona „potrzebą egzekwowania praw opiekuńczych” – tak Todorov podsumowuje myśl de Vitorii.

Gdy wkrótce potem schedę po nich przejęli barbarzyńcy z Anglii, kontynuowali dzieło „poskramiania bestii w ludzkiej skórze”, jak wyraził się George Washington o tych, którzy stali na drodze postępu cywilizacji i których trzeba było zlikwidować dla ich własnego dobra. W ten sam sposób angielscy koloniści rozprawili się wcześniej z „dzikimi” Celtami, na przykład gdy książę Cumberland, znany jako „rzeźnik”, spustoszył Szkocję, by następnie kontynuować swoje dzieło w Ameryce Północnej.

Sto pięćdziesiąt lat później ich potomkowie oczyścili Amerykę Północną z rdzennej rasy, ograniczywszy populację Indian amerykańskich z dziesięciu milionów do dwustu tysięcy (według najnowszych szacunków). Gdy zadanie to zostało wykonane, ruszyli cywilizować dzikusów na Filipinach. Hinduscy żołnierze, którym prezydent McKinley zlecił

zadanie „nawrócenia ich na chrześcijaństwo” i „ulżenia ich doli”, oczyścili wyspy z setek tysięcy tych nieszczęsnych istot, przybliżając ich tym samym do życia wiecznego. Oni także ratowali „istoty głuche na głos rozsądku” przed demoralizacją, „masakrując tubylców w iście angielskim stylu”, jak pisano o tej bolesnej konieczności w *New York Timesie*, dodając, że musimy się zadowolić „tą lichą chwałą, jaka leży w ich masowym uśmiercaniu, aż nauczą się szanować nasz oręż” po to, abyśmy później mogli zająć się „o wiele trudniejszym zadaniem wpojenia im respektu dla naszych zamiarów”.

I tak z grubsza toczyła się historia, w miarę jak plaga europejskiej cywilizacji dewastowała wielkie połacie świata.

Na froncie krajowym ten sam ustawiczny problem sformułował w XVII w. autor pism politycznych Marchamont Nedham. Propozycje radykalnych demokratów – pisał – doprowadziłyby do tego, że „u władzy znaleźliby się ludzie ciemni, bez wykształcenia i bez majątku”. Obdarowany taką wolnością zuchwały tłum obrałby na przywódców ludzi „najniższego stanu”, a ci, zagrabiwszy dla siebie majątek ludzi możnych, podążyliby „drogą wszelkiej rozwiązłości i niegodziwości ku czystej anarchii i rozprężeniu”. To opinia głęboko dziś zakorzeniona we współczesnym dyskursie politycznym i intelektualnym. Jej popularność rośnie w miarę jak z upływem stuleci realizują się stopniowo postulaty radykalnych demokratów, a co za tym idzie, konieczne są coraz bardziej wyrafinowane metody temperowania ich realnego wpływu.

Takie problemy regularnie dają o sobie znać w czasach niepokoju i konfliktów społecznych. Po rewolucji amerykańskiej trzeba było siłą nauczyć zbuntowanych i niezależnych farmerów, że nie powinni brać na poważnie wolnościowych idei z broszur rozpowszechnianych w 1776 roku. Zwykli obywatele mieli być reprezentowani nie przez sobie podobnych – takich, którzy „znają ludzką krzywdę” – ale przez ziemian, kupców, prawników i innych, którzy albo sami dzierżą władzę, albo władzy służą. Jefferson i Madison byli przekonani, że władza powinna znajdować się w rękach „naturalnej arystokracji, ludzi takich jak oni sami” – pisze Edmund Morgan – którzy broniliby prawa własności przed zakusami biedoty i pasożytniczej, hamiltonowskiej „papierowej arystokracji”. Uważali, że „niewolnicy, nędzarze i ubodzy robotnicy są nieustannym zagrożeniem dla wolności i własności prywatnej”. W myśl panującej doktryny ojców założycieli „krajem powinni rządzić jego właściciele” (John Jay). Powstanie korporacji biznesowych w XIX w. oraz wyłonienie się struktur prawnych zapewniających im dominację w życiu społecznym i prywatnym, ostatecznie przypieczętowało zwycięstwo federalistów nad dążeniami ludowych demokratów i nadało mu nową, potężną formę.

W toku walki rewolucyjnej stronnictwa aspirujące do władzy nierzadko ścierają się ze sobą, choć łączy je wrogość do radykalnych tendencji demokratycznych wśród mas ludowych. Lenin i Trocki wkrótce po objęciu władzy w 1917 roku rozbili organy kontroli ludowej, w tym komitety fabryczne i rady delegatów, zapobiegając w ten sposób szerzeniu się tendencji socjalistycznych. Jako ortodoksyjny marksista, Lenin uważał, że socjalistyczny projekt jest niewykonalny w kraju tak zacofanym jak Rosja. Do ostatnich dni uznawał „elementarną prawdę marksizmu, że zwycięstwo socjalizmu wymaga wspólnego wysiłku robotników w wielu rozwiniętych krajach”, a szczególnie robotników niemieckich. Geor-

ge Orwell w książce *W hołdzie Katalonii*, którą zawsze uważałem za jego największe dzieło, opisuje podobny proces zachodzący w Hiszpanii. Tam faszyci, komuniści i liberalni demokraci zjednoczyli się najpierw przeciw wolnościowej rewolucji, jaka rozprzestrzeniła się na znacznym obszarze kraju, a do konfliktu o łupy powrócili dopiero wtedy, gdy ludowy zryw został bezpiecznie zdławiony. Podobne przykłady można mnożyć.

Szczególnie łatwo dostrzec tę prawidłowość w krajach Trzeciego Świata. Elity Zachodu dręczy niepokój, że ruchy ludowe mogłyby stać się zarzewiem autentycznej demokracji i reform socjalnych, a to zagroziłoby prerogatywom uprzywilejowanej mniejszości. Tych, którzy „podburzają spóółstwo” i „wciągają je w najrozmaitsze układy” przeciwko „najbardziej wartościowym obywatelom”, należy zatem uciszyć lub wyeliminować. Nie powinno więc dziwić, że arcybiskup Oscar Romero został zamordowany w kilka dni po tym, jak prosił listownie prezydenta Cartera o wstrzymanie pomocy dla junty wojskowej w Salwadorze i ostrzegał, że taka pomoc „spotęguje niesprawiedliwość i represje wobec organizacji ludowych” walczących o „respektowanie fundamentalnych praw człowieka”.

Lęk klas uprzywilejowanych przed zorganizowanym ruchem ludowym jest bardzo realny. Co gorsza – by zaczerpnąć z terminologii elit politycznych – „ta zaraza może się rozprzestrzeniać”; suwerenny rozwój, który naprawia „ludzką krzywdę”, może okazać się przykładem wartym naśladowania. W dokumentach wewnętrznych, jak i w opublikowanych materiałach widać wyraźne obawy amerykańskich planistów, że ten „wirus” mógłby się roznieść po świecie i „zainfekować” inne regiony.

Takie obawy nie są niczym nowym. Mężowie stanu w Europie obawiali się, że amerykańska rewolucja „użyczy nowej siły apostołom buntu” (Metternich) i może „rozsięwać szkodliwe wzorce”, w tym „zgubną doktrynę republikanizmu i samostanowienia”, przestrzegał jeden z carskich dyplomatów. Wiek później role się odwróciły. Sekretarz stanu w gabinecie prezydenta Woodrowa Wilsona wyrażał obawy, że jeśli bolszewicka zaraza się rozprzestrzeni, „nad światem zapanują ciemne i ociążałe masy człowiecze”. Bolszewizm, jego zdaniem, przemawiał do wyobraźni „proletariatu wszystkich krajów, do ludzi ciemnych i ograniczonych umysłowo, którzy w swojej masie mają stać się panami” i oceniał, że „w świetle niepokojów społecznych na świecie istnieje realne niebezpieczeństwo takiego rozwoju wypadków”. Widmo demokracji niezmiennie budzi grozę. Gdy w Niemczech pojawiły się na krótko rady żołnierskie i robotnicze, Wilson obawiał się, że zaszczipią one niebezpieczne idee w głowach „amerykańskich [żołnierzy] murzyńskich powracających z frontu do kraju”. Już przecież dochodziły go słuchy, że czarne praczki domagają się podniesienia dniówek, twierdząc, że „pieniądze należą się nam tak samo jak wam”. Jeśli bolszewicka zaraza nie zostanie wytępiona, obawiał się, przedsiębiorcy będą musieli dopuścić robotników do współrządzenia zakładami.

Mając na uwadze tego rodzaju opłakane konsekwencje, snuto plany inwazji na Związek Radziecki, uzasadnione zagrożeniem dla „samego trwania kapitalizmu, jakie niesie rewolucja w Rosji” (John Lewis Gaddis). Było rzeczą naturalną, że obrona Stanów Zjednoczonych w równym stopniu wymaga inwazji na ZSRR, co tępienia – jak określił ją Wilson – „czerwonej zarazy” na gruncie krajowym. Lansing wyjaśniał, że, wobec „liderów bolszewii i anarchii” trzeba użyć siły, aby uniemożliwić im „organizowanie się albo podburzanie

ludności przeciw rządowi Stanów Zjednoczonych”; rząd nie może bowiem dopuścić, by „ci fanatycy cieszyli się wolnością, którą dziś sami pragną zniszczyć”. Uruchomione przez administrację Wilsona represje skutecznie podważyły demokratyczne reguły w polityce, ograniczyły działalność związków zawodowych, wolność prasy i myśli, wzmacniając za to władzę wielkiego biznesu oraz instytucji państwowych, które reprezentowały jego interesy. Wszystko to dokonało się przy aprobachie mediów i elit, w ramach samoobrony przed „ciemną i ociężałą umysłowo” większością. Ta sama historia powtórzyła się po II wojnie światowej, gdy pretekst sowieckiego zagrożenia posłużył do przywrócenia posłuszeństwa wobec rządzących.

Problem powrócił wraz z ożywieniem politycznej aktywności i niezależnej myśli w latach sześćdziesiątych – i wywołał taką samą reakcję. Komisja Trójstronna, skupiająca elity z Europy, Japonii i USA, przestrzegała przed nadciągającym „kryzysem demokracji”, który polegał na tym, że rozmaite segmenty społeczeństwa domagały się głosu na arenie politycznej. Ten „nadmiar demokracji” zagrażał nieskrępowanym rządóm uprzywilejowanych elit, które w teologii politycznej nazywa się dziś „demokracją”. Powrócił znany już problem: awanturnicze pospólstwo roilo sobie, że będzie zarządzać własnymi sprawami, przejmowało ster lokalnych społeczności i coraz donośniej artykułowało żądania polityczne. Organizowała się młodzież, organizowały się mniejszości etniczne, kobiety, społecznicy i inne grupy zachęczone walką nieoświeconych mas w innych krajach o wolność i samostanowienie. Komisja Trójstronna uznała, że nie obejdzie się bez „miarkowania demokracji”, a być może nawet powrotu do czasów, kiedy to „Truman zarządzał krajem we współpracy z elitarnym gronem prawników i bankierów z Wall Street”, jak to ujął w komentarzu sprawozdawca.

Wypowiadane już w XVII w. lęki „najbardziej wartościowych obywateli” stały się wiodącym motywem debaty intelektualnej, praktyk biznesowych i nauk społecznych. Dawał im wyraz wpływowy moralista i doradca do spraw polityki zagranicznej Reinhold Niebuhr, wielki autorytet dla George’a Kennana i grona intelektualistów skupionych wokół Kennedy’ego. Niebuhr pisał, że „racjonalność jest przymiotem chłodnych obserwatorów”, podczas gdy zwykli ludzie kierują się nie tyle rozumem, ile wiarą. Chłodni obserwatorzy, tłumaczył, muszą zdać sobie sprawę z „ciemnoty ludzi przeciętnych” i dostarczyć im „niezbędnych iluzji” oraz „emocjonalnie sugestywnych uproszczeń”, które nie pozwolą naiwnym prostaczkom zboczyć z wytyczonego kursu. Tak jak w roku 1650, tak i teraz trzeba chronić „obłąkany”, ciemny lud, przed jego własnymi „zepsutymi i zdeprawowanymi” osądami, podobnie jak trzyma się za rękę dziecko, przeprowadzając je przez ulicę.

Zgodnie z dominującym poglądem, kontrola kilku wielkich koncernów nad całą siecią przekazu informacji nie umniejsza demokracji, a wręcz przeciwnie: stanowi jej sedno. Edward Bernays, ojciec public relations, twierdził, że „wolność do przekonywania i sugerowania” jest samą „esencją procesu demokratycznego”. Nazwał to „inżynierią zgody”. A jeśli wolność przekonywania jest skoncentrowana w rękach nielicznych, to trzeba zdać sobie sprawę, że wynika to z samej natury wolnego społeczeństwa.

Bernays wyraził to fundamentalne założenie w podręczniku public relations wydanym w 1928 roku: „Świadoma i inteligentna manipulacja nawykami i opiniami mas jest ważnym

elementem demokratycznego społeczeństwa. Inteligentna mniejszość musi posługiwać się narzędziem propagandy w sposób ciągły i systematyczny”. Amerykańskie kręgi biznesowe, które nie tylko dzierżą potężną i przemożną władzę, ale mają też silnie rozwiniętą świadomość klasową, potrafiły zrobić z tej lekcji użytek. Na Bernaysa i jego stosunek do propagandy powoływał się Thomas McCann, szef działu public relations w firmie United Fruit Company; na jej zlecenie sam Bernays sporządzał analizy materiałów wywiadowczych podczas przygotowań do obalenia demokracji w Gwatemali w 1954 roku. Ostatecznie był to kolejny triumf propagandy biznesu osiągnięty przy gorliwym współudziale mediów.

Inteligentna mniejszość rozumie od dawna, że na takiej perswazji polega ich rola. Walter Lippmann pisał, że „urabianie przyzwolenia” staje się „świadomą sztuką i stałym organem demokratycznie wybranego rządu. Nazywał to „rewolucją” w „praktykowaniu demokracji”. Jego zdaniem to naturalna konsekwencja faktu, że opinii publicznej nie można ufać: „Pod nieobecność instytucji oświatowych i innych, które interpretowałyby otaczający świat na tyle przekonująco, by wyraźnie wskazać, gdzie kończą się polityczne realia, a zaczynają subiektywne poglądy, opinia publiczna traci z pola widzenia interes wspólny. Dlatego musi nią kierować klasa specjalistów, których osobisty interes nie ogranicza się do najbliższego otoczenia” i którzy dzięki temu są w stanie dostrzegać „realia”. Owi specjaliści to właśnie „najbardziej wartościowi obywatele” – jedyni zdolni zarządzać społeczeństwem i gospodarką.

Wynika z tego, wyjaśnia dalej Lippmann, że trzeba jasno rozróżnić dwie role w życiu politycznym. Pierwsza to rola przypisana klasie specjalistów, „insiderów”, „ludzi odpowiedzialnych”, którzy dysponują rzetelną informacją i znajomością rzeczy. Ci powinni przechodzić specjalną ścieżkę kształcenia, prowadzącą do urzędów publicznych, i muszą opanować kryteria rozwiązywania problemów społecznych: „W takim stopniu, w jakim kryteria te można precyzyjnie i obiektywnie sformułować, wyłania się korelacja między decyzjami politycznymi” – które pozostają wyłączną domeną klasy specjalistów – „a interesami zwykłych ludzi”. Owe „osoby publiczne” mają ponadto być „liderami opinii” i brać odpowiedzialność za „kształtowanie zdrowej opinii publicznej”. Ich zadaniem jest „inicjować, administrować i rozstrzygać”. Należy im się ochrona przed zakusami „wścibskich ignorantów”, czyli ogółu społeczeństwa, które nie jest w stanie „objąć umysłem istoty problemu”. Stosownym kryterium oceny władzy jest jej zdolność do zaspokojenia materialnych i kulturalnych potrzeb, a nie to, czy „współgra z subiektywnymi osądami, jakie w danej chwili pojawiają się w ludzkich umysłach”. Opanowawszy kryteria podejmowania decyzji politycznych, ta klasa specjalistów, odgradzona od wścibskiego ogółu, będzie służyć sprawom publicznym – czyli temu, co w naukach społecznych i publicystyce politycznej nazywa się mętnie „intereseм narodowym”.

Druga rola to „zadanie przynależne społeczeństwu”, o wiele skromniejsze. Zadaniem opinii publicznej nie jest, stwierdza Lippmann, „merytoryczny osąd”, prowadzenie analiz ani proponowanie rozwiązań, a jedynie okazjonalne „oddanie swej siły do dyspozycji” tej czy innej grupy „ludzi odpowiedzialnych”. Opinia publiczna „nie rozumuje, nie bada, nie wynajduje, nie przekonuje, nie zawiera układów i nie rozstrzyga”. Opinia publiczna „działa jedynie poprzez wyrażenie swojego poparcia dla kogoś, kto ma moc realnego działania”

i dopiero wtedy, gdy ów ktoś poddał daną kwestię trzeźwej i bezstronnej analizie. Właśnie dlatego „lud musi znać swoje miejsce”. Hałaśliwe, ogłupiałe stado, traktujące wszystko na swej drodze, „ma swoją funkcję”: ma być „zainteresowaną publicznością”, ale nie uczestnikiem wydarzeń. Uczestnictwo przysługuje tylko „ludziom odpowiedzialnym”.

Koncepcje te, przedstawiane przez wydawców Lippmanna jako postępową „filozofia polityczna demokracji liberalnej”, jednoznacznie przypominają leninowską koncepcję partyjnej awangardy, która prowadzi masy ku lepszemu życiu, jakiego same nie są w stanie wymyślić ani zbudować. I rzeczywiście, przejście od jednej pozycji do drugiej – od leninowskiego entuzjazmu do „celebrowania Ameryki” – okazywało się całkiem łatwe. Nic w tym dziwnego, bowiem u źródła doktryny te są bliźniaczo podobne. Najistotniejsza różnica między nimi leży w ocenie perspektyw przejścia władzy: przez instrumentalne wykorzystanie masowego ruchu społecznego czy przez służenie obecnym panom.

Za propozycjami Lippmanna i jemu podobnych stoi niewypowiedziane, ale wyraźne założenie: nowa klasa specjalistów zyskuje możliwość kierowania sprawami publicznymi w zamian za podporządkowanie się prawdziwym ośrodkom władzy – co w naszym społeczeństwie oznacza: dominującym interesom biznesu. Ten zasadniczy fakt przykrywa zwykle samouwielbienie wyborczych zwycięzców.

Poglądy Lippmanna w tej mierze ukształtowały się zaraz po I wojnie światowej, gdy przedstawiciele liberalnej inteligencji z dumą obnosili swój cenny wkład w charakterze „wiernych i pomocnych interpretatorów jednego z największych przedsięwzięć, jakich podjął się amerykański prezydent” (New Republic). Rzeczone przedsięwzięcie polegało na tym, że Woodrow Wilson, który wygrał wybory z mandatem doprowadzenia do „pokoju bez zwycięstwa” zinterpretował to jako okazję do zwycięstwa bez pokoju. Dokonał tego z wydatną pomocą liberalnych intelektualistów, którzy już po fakcie chętni byli tym, jak za pomocą rozmaitych technik propagandy zdołali „narzucić swoją wolę już to niechętniej, już to zobojętniałej większości”. Często nieświadomie, owi intelektualiści byli jedynie narzędziami w ręku brytyjskiego Ministerstwa Informacji, którego niepisana misją było „kierowanie opiniami większości ludzi na świecie”.

Piętnaście lat później wpływowy politolog Harold Lasswell wyjaśniał w *Encyklopedii nauk społecznych*, że gdy elitom brak siły koniecznej do wymuszenia posłuszeństwa, społeczni menedżerowie muszą sięgnąć po „zupełnie nową technikę kontroli, w której wiodącą rolę odgrywa propaganda”. Dodał przy tym konwencjonalne uzasadnienie: musimy przyjąć do wiadomości „ignorancję i ciasnotę umysłową (...) mas ludowych”. Nie wolno nam ulegać „demokratycznym dogmatom o tym, jakoby ludzie sami najlepiej umieli ocenić, co leży w ich interesie”. A skoro tego nie umieją, trzeba nimi sterować dla ich własnego dobra. Tą samą zasadą kieruje się biznes. Inni rozwinęli podobne koncepcje i zastosowali je w praktyce w instytucjach ideologicznych: szkołach, uniwersytetach, popularnych mediach, elitarnych periodykach i tak dalej. Jakikolwiek wyzwanie rzucone tym ideom budzi niepokój, a niekiedy wściekłość – jak w latach 60., gdy nieposłuszni władzy studenci zaczęli zadawać zbyt wiele kłopotliwych pytań i szukać odpowiedzi poza granicami, jakie dla nich nakreślono. Rzekome zagrożenie, w obliczu którego trzeba stanąć na szanach i odeprzeć szturm barbarzyńców, tak często dziś przywoływane, to groteskowy humbug, nic więcej.

Pojawienie się doktryn Lippmanna, Lasswella i im podobnych jest zupełnie naturalne w każdym społeczeństwie, w którym władza jest silnie skoncentrowana, ale istnieją formalne mechanizmy, które teoretycznie pozwalają zwykłym ludziom mieć pewien wpływ na swój los. Takie niedopatrzenie trzeba, rzecz jasna, wyeliminować.

Najdoskonalsze techniki urabiania przyzwolenia rozwinęły się w Stanach Zjednoczonych, ponieważ władza biznesu osiągnęła tu wyższy poziom zaawansowania niż w krajach sojuszniczych, a jednocześnie pod wieloma istotnymi względami istnieje tu szerszy zakres wolności, co czyni prymitywne i bezrozumne masy jeszcze groźniejszymi. Jednak podobnie jak w przeszłości, te same niepokoje nasilają się w Europie. Wzmaga je fakt, że ewolucja europejskich odmian kapitalizmu państwowego nie zaszła tak daleko jak w USA w eliminacji związków zawodowych i innych utrudnień dla rządów „najbardziej wartościowych obywateli” i nadal istnieją partie polityczne, które nie są tylko frakcjami jednej partii biznesu. Elementarny i powszechnie uświadomiony problem polega na tym, że gdy państwo traci możliwość kontrolowania mas środkami przymusu, kręgi uprzywilejowane muszą znaleźć inne sposoby zabezpieczenia areny publicznej przed wtargnięciem pospólstwa. A mało liczące się kraje muszą podlegać tym samym zasadom, co mało liczący się ludzie. Pokojowo nastawieni liberałowie utrzymują, że inne kraje powinny być wolne i niepodległe; nie na tyle jednak, by pozwolić im na politykę, którą uważamy za nieracjonalną lub sprzeczną z naszymi interesami – to pogląd zbliżony do dominującego rozumienia demokracji jako mechanizmu kontroli społecznej.

Prawidłowo działający system indoktrynacji musi sprostać rozmaitym zadaniom. Niektóre z nich wymagają pewnej subtelności. Indoktrynacja nakierowana jest przede wszystkim na prymitywne i bezrozumne masy. Muszą one pozostać prymitywne i bezrozumne, więc odwraca się ich uwagę emocjonalnie sugestywnymi uproszczeniami, marginalizuje się je i izoluje. Najlepiej byłoby, gdyby każdy człowiek siedział sam przed telewizorem i oglądał relacje sportowe, telenowele lub komedie; by nie istniały żadne struktury organizacyjne pozwalające jednostkom o ograniczonych zasobach formułować poglądy w konfrontacji z innymi ludźmi, artykułować krytykę i tworzyć programy pozytywne, a następnie aktywnie je realizować. Jednostkom można co najwyżej pozwolić, a nawet zachęcać je, by w drodze wyborów okresowo ratyfikowały decyzje podjęte przez lepszych od nich ludzi. Pospólstwo jest właściwym adresatem mass mediów i systemu edukacji publicznej, które przyuczają je do posłuszeństwa i szkolą w zakresie niezbędnych umiejętności, takich jak recytowanie patriotycznych sloganów w stosownych chwilach.

Aby uległość stała się cechą trwałą, trzeba ją umacniać w każdej sferze. Masy społeczne mają być obserwatorami, nie uczestnikami; mają konsumować ideologię tak samo jak konsumują produkty. Eduardo Galeano pisze, że „większość ludzi skazana jest na konsumowanie fantazji. Biednym sprzedaje się iluzję bogactwa; ciemieżonym – iluzję wolności; pokonanym – iluzję zwycięstwa, a słabym – sny o potędze”. To program minimum.

Kwestia indoktrynacji przedstawia się nieco inaczej w przypadku tych, którzy mają uczestniczyć w podejmowaniu istotnych decyzji i w sterowaniu masami: ludzi zarządzających biznesem, państwem i kulturą oraz, mówiąc ogólnie, przedstawicieli wszelkich sektorów kształtujących opinię publiczną. Ci muszą uwewnętrznić wartości systemu i

wierzyć w niezbędne iluzje, dzięki którym system może działać w interesie skoncentrowanej władzy i uprzywilejowanych mniejszości, a przynajmniej muszą być na tyle cyniczni, by udawać, że w nie wierzą. Stosunkowo niewielu potrafi to robić przekonująco. Jednocześnie ludzie ci muszą wykazywać się pewnym rozumieniem realiów; w przeciwnym razie nie mogliby skutecznie wykonywać swoich zadań. Przeznaczone dla elit media i systemy kształcenia muszą zatem brać wyważony kurs między tymi dyrektywami. To trudne zadanie, najeżone wewnętrznymi sprzecznościami. Jak się je w praktyce realizuje – to intrygujący temat, na który tu nie ma miejsca.

Na froncie krajowym niezbędne są rozmaite techniki urabiania przyzwolenia, dostosowane do adresatów i do ich statusu społecznego. Do warstw najniższej rangi (oraz do wszelkich nieliczących się narodów innych państw), stosuje się inny mechanizm, który Franklin Henry Giddings, wiodący amerykański socjolog z przełomu XIX i XX w., nazywał „przyzwoleniem bez przyzwolenia”: „jeśli po latach skolonizowane ludy zrozumieją i przyznają, że relacja podległości, którą kontestują, leżała w ich najgłębszym interesie, słuszne będzie uznać, że władza została im narzucona za ich przyzwoleniem” – podobnie jak wtedy, gdy rodzic narzuca dyscyplinę dziecku nie rozumiejącemu jej sensu. Giddings miał na myśli „istoty głuche na głos rozsądku”, które niechętnie, lecz z konieczności mordowaliśmy na Filipinach dla ich własnego dobra. Ale zastosowanie tej zasady jest powszechne.

Jak już zauważyliśmy, bolszewicki wydźwięk tych idei jest nadto słyszalny. Między tymi dwoma systemami istnieją nie tylko istotne różnice, lecz także uderzające podobieństwa. „Klasa specjalistów” Lippmanna i „inteligentna mniejszość” Bernaysa, które w teorii demokracji liberalnej zarządzają sprawami publicznymi i opiniami mas, mają swój odpowiednik w systemie leninowskim: rewolucyjną awangardę inteligencji. Odpowiednikiem „urabiania przyzwolenia”, którego orędownikami byli Lippmann, Bernays, Niebuhr, Lasswell i inni, jest leninowska „agitprop”. Jak przed ponad wiekiem przewidywał z obawą Bakunin, świeccy kapłani dwóch największych systemów hierarchii i przymusu mają społeczne masy za nieobliczalne i niekompetentne – ogłupiałe stado, które trzeba poprowadzić ku lepszemu światu. Ten świat zbudujemy dla nich my, inteligentna mniejszość, czy to biorąc wodze państwowej władzy w swoje ręce (jak w modelu leninowskim), czy to, jeśli fala ludowej rewolucji nie wyniesie tej mniejszości na szczyt, służąc właścicielom i administratorom systemów państwowo-kapitalistycznych.

Zgodnie z przewidywaniem Bakunina leninowska „czerwona biurokracja” czym prędzej rozmontowała społeczne mechanizmy kontroli, a przede wszystkim struktury organizacyjne, które dawały robotnikom pewien wpływ na życie publiczne i na relacje w miejscu pracy.

Jak można się było spodziewać, szybkie i zdecydowane unicestwienie raczkujących tendencji socjalistycznych, jakie narodziły się w fermentie ludowej walki 1917 roku, oba największe systemy propagandy na świecie przedstawiły jako zwycięstwo socjalizmu. Bolszewicy czerpali z tej farsy moralny autorytet socjalizmu; Zachód natomiast wykorzystał ją, by skutecznie zniesławić socjalizm, a przy okazji umocnić system prywatnej własności i kontrolę nad wszelkimi aspektami życia gospodarczego, politycznego i społecznego. Ostatecznego upadku systemu leninowskiego nie można nazywać zwycięstwem socjalizmu, po-

dobnie jak nie była nim klęska hitlerowskich Niemiec i Włoch Mussoliniego. Jednak w każdym z tych przypadków znikła pewna bariera do realizacji wolnościowo-socjalistycznych ideałów, do jakich odwoływały się ruchy ludowe zmiażdżone w Rosji w 1917 roku, wkrótce potem w również Niemczech, a w 1936 roku w Hiszpanii. Leninowska awangarda przodowała w dławieniu wolnościowych, socjalistycznych i radykalnie demokratycznych aspiracji pospólstwa.

O krok od użycia siły

Paradoks Hume'a dotyczy w równej mierze społeczeństw rządzonych despotycznie co cieszących się względną wolnością. Ten drugi przypadek jest jednak znacznie ważniejszy. W miarę jak zwiększa się zakres wolności i różnorodność społeczeństw, nakłanianie ich do uległości staje się coraz bardziej skomplikowanym zadaniem, a odkrywanie mechanizmów indoktrynacji jest coraz trudniejsze. Czystą intelektualną ciekawość odłożmy jednak na bok. Przypadek społeczeństw wolnych jest dla nas ważniejszy dlatego, że rozpatrując go, mówimy o sobie samych, a wnioski możemy przekuć w działanie. Właśnie z tego powodu dominująca kultura zawsze wskazuje zewnętrzne źródła wszelkich problemów, tak by opinia publiczna doszukiwała się ich przyczyn w słabościach innych ludzi i popełnianych przez nich nadużyciach. Gdy w jakimś zakątku Trzeciego Świata kolejny amerykański plan spali na panewce, nasza uwaga jest zawsze kierowana ku rozmaitym ułomnościom określonych kultur i ich społecznego nieładu – a nie ku nam samym. Tych, którzy ujawniają zbrodnie oficjalnie wyznaczonych wrogów, czeka sława, fortuna i poważanie. Ci natomiast, którzy stawiają przed własnym społeczeństwem lustro, mogą oczekiwać zgola przeciwnych konsekwencji. Najbardziej znanymi dziełami George'a Orwella są *Folwark zwierzęcy* i *Rok 1984*, które skupiają się na wrogu oficjalnie wyznaczonym. Gdyby zamiast tego Orwell skupił się na ważniejszej i ciekawszej kwestii kontroli myśli w społeczeństwach względnie wolnych i demokratycznych, nie spotkałby go ten sam poklask, a zamiast powszechnego uznania czekałoby go pełne potępienia milczenie. My jednak zwróćmy się ku tym właśnie ważnym, a niepopularnym kwestiom.

Pozostając przy rządach względnie wolnych i mających społeczną legitymację: dlaczego rządzi im się podporządkowują, choć mają po swojej stronie siłę? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy najpierw zadać inne: w jakim stopniu siła leży po stronie rządzących? Tu potrzeba pewnej ostrożności. Społeczeństwa są uznawane za wolne i demokratyczne o tyle, o ile zdolność władzy do stosowania przymusu jest ograniczona. Pod tym względem przypadek Stanów Zjednoczonych jest nietypowy: tu w większej mierze niż gdzie indziej obywatele są wolni od przymusu państwa. Dotyczy to przynajmniej osób względnie uprzywilejowanych i o właściwym kolorze skóry, czyli znacznej części mieszkańców kraju.

Ale jest przecież oczywiste, że państwo to tylko jedno z ogniw łańcucha władzy. Inwestycje, produkcja przemysłowa, finanse, warunki pracy i inne aspekty, których kontrola jest kluczowa dla polityki społecznej, leżą w rękach prywatnych. Odmowa dostosowania się do tej struktury władzy i dominacji pociąga za sobą niemałe koszty – od przymusu

państwowego po koszty ubóstwa i walki. Nawet najbardziej niezależnym jednostkom łatwo przyjdzie porównać te koszty z korzyściami, choćby bardzo skromnymi, jakie daje uległość. Rzeczywista wolność wyboru jest zatem wąsko ograniczona. Podobne czynniki w jasny sposób ograniczają dopuszczalne spektrum idei i opinii. Przekaz publiczny kształtują te same prywatne ośrodki władzy, które zawiadują gospodarką. Dominującą rolę odgrywają tu największe korporacje, które sprzedają swoją publiczność reklamodawcom i w naturalny sposób odzwierciedlają interesy właścicieli i rynku. Tym samym zdolność do artykułowania i komunikowania własnych poglądów, obaw i interesów – a wręcz do ich odkrywania – zostaje mocno ograniczona.

Wypieranie z masowej świadomości tych truizmów o rzeczywistych ośrodkach władzy leży u podłoża wszelkich mechanizmów generowania niezbędnych iluzji. I tak na przykład medioznawca recenzujący w *New York Timesie* książkę o wolności prasy odwołuje się – bez uzasadnienia – do „tradycyjnej jeffersońskiej roli” prasy jako „przeciwwagi dla władzy państwowej”. To wyrażenie zawiera w sobie trzy niewypowiedziane, ale fundamentalne twierdzenia: jedno historyczne, jedno opisowe i jedno ideologiczne. Twierdzenie historyczne mówi, że Jefferson był zaprzysięgłym zwolennikiem wolności prasy – co jest nieprawdą. Drugie, opisowe twierdzenie mówi, że prasa stanowi przeciwwagę dla władzy, podczas gdy w rzeczywistości prasa wiernie tej władzy służy. Twierdzenie to przedstawia się jednak jako dogmat, co pozwala uniknąć konfrontacji z dowodami, które mu zaprzeczają. Twierdzeniem ideologicznym zaś jest założenie, że libertarianizm w duchu Jeffersona (rozważany jako czysta idea, bez względu na jego realizację w praktyce) wymaga, aby prasa stanowiła przeciwwagę dla władzy rządu. Tak nie jest. W koncepcji wolnościowej prasa powinna być niezależna, a więc stanowić przeciwwagę dla wszystkich ośrodków władzy, nie jedynie dla aparatu państwa. W czasach Jeffersona istniały trzy znaczące ośrodki władzy: państwo, Kościół i struktury feudalne. Wkrótce potem pojawiły się nowe ośrodki władzy, jakimi są funkcjonujące w kapitalizmie korporacje. Zwolennik myśli Jeffersona powinien zatem wymagać, aby prasa była przeciwwagą tak dla władzy państwowej, jak i dla władzy biznesu, a szczególnie dla kompleksu państwowo-biznesowego, gdzie te dwie sfery zachodzą na siebie. Jednak podnosząc tę kwestię, wchodzimy na zakazany teren.

Koncentracja władzy w prywatnych rękach nie tylko pociąga za sobą zawężenie spektrum wyrażanych opinii, ale także nakłada znaczące ograniczenia na kompetencje władzy państwowej. Stany Zjednoczone znów okazują się pod tym względem wyjątkiem na tle innych uprzemysłowionych demokracji, chociaż na całym świecie można obserwować stopniowe dostosowywanie się do amerykańskiego wzorca. W USA wolność od przymusu państwa jest niemal zupełna; niemal zupełne jest także ubóstwo życia politycznego w kraju. Istnieje zasadniczo tylko jedna partia – partia biznesu, podzielona na dwie frakcje. Za znaczną część historii politycznej USA odpowiadają płynne koalicje inwestorów. Związki zawodowe i inne organizacje społeczne, za których pośrednictwem obywatele mogliby zyskiwać pewien wpływ na programy i decyzje polityczne, właściwie nie funkcjonują poza swymi najwęższymi ramami instytucjonalnymi. Ramy systemu ideologicznego wyznacza konsens klas uprzywilejowanych. Wybory są niemal wyłącznie rytuałem. W każdych kolejnych wyborach do Kongresu mandaty zdobywają niemal wyłącznie ci, którzy już w nim

zasiadają. Już samo to wskazuje, jak pozbawiony treści jest amerykański system polityczny i jak ograniczony wybór oferuje. Kampanie prezydenckie nie stwarzają już nawet pozorów, że stawką są jakieś żywotne kwestie. Programy polityczne służą wyłącznie zbieraniu głosów, a kandydaci taktycznie dostosowują przekaz do swoich odbiorców według tego, co podpowiadają im specjaliści od PR. Komentatorzy polityczni rozwodzą się nad pytaniami o to, czy Reagan nie zapomni wyuczonych sloganów, czy Mondale nie ma zbyt posępnej miny albo czy Dukakis oczyści się z błota, jakim obrzucili go autorzy przemówień George'a Busha. W kampanii wyborczej z 1984 roku dwie frakcje praktycznie zamieniły się miejscami: Republikanie pozowali na partię stawiającą po keynesowsku na wzrost i interwencję państwa w gospodarkę, a Demokraci nawoływali do fiskalnego konserwatyzmu. Mało kto zwrócił na to uwagę. Połowa uprawnionych nie zadaje sobie trudu wrzucenia kartki do urny wyborczej, a ci, którzy to robią, nierzadko świadomie głosują wbrew własnym interesom.

Zgodnie z receptami Lippmanna i innych teoretyków demokracji, rola opinii publicznej ogranicza się więc do ratyfikowania decyzji podejmowanych przez kogoś innego. Jej zadaniem jest wybranie jednej ze wstępnie wyselekcjonowanych postaci poprzez czysto symboliczną procedurę, którą tylko wyjątkowo naiwni traktują z powagą, narażając się przy tym na szyderstwa ze strony bardziej wyrafinowanych umysłów. Wytykanie prezydentowi Bushowi, że wzywa do „zwiększenia wpływów budżetowych” po tym, jak zwycięstwo wyborcze zapewnił sobie solennym przyrzeczeniem, że nie podniesie podatków, politolog i medioznawca z Harvardu Marty Linsky nazywa „tanim chwytem” w tekście pod tytułem „Obietnice wyborcze są po to, by je łamać”. Gdy Bush powtarzał swój slogan „Czytajcie mi z ust: żadnych nowych podatków!”, zdaniem komentatora wyrażał jedynie swój „światopogląd” i swoje „nadzieje”. Kto sądził, że Bush naprawdę obiecuje nie wprowadzać nowych podatków, nie rozumiał, że „wybory i rządzenie to całkowicie różne dyscypliny; mają inne cele i rządzą się innymi regułami”. „Zadaniem kandydata jest wygrać” – zauważa celnie Linsky z cynizmem światowca, po czym dodaje: „a zadaniem prezydenta jest robić to, co najlepsze dla kraju” – reprodukując niezbędne iluzje, jakich wymaga przyzwoitość.

Nawet gdy w systemie politycznym podnoszą się społecznie istotne spory, koncentracja realnej władzy skutecznie neutralizuje zagrożenie. W Stanach Zjednoczonych, ze względu na podporządkowanie ideologii i systemu politycznego interesom biznesu, jest to zazwyczaj kwestia czysto akademicka. Sytuacja wygląda jednak inaczej w państwach demokratycznych na południe od USA, gdzie spory o ideologię i praktykę rządzenia przedostają się czasem na polityczną arenę. W takich momentach powtarza się znajomy scenariusz: działania rządu, które są niemile widziane przez prywatne ośrodki władzy, skutkują ucieczką kapitału, wycofaniem inwestycji i wzrostem ubóstwa w kraju. Trwa to do chwili, aż zagrożenie dla klas uprzywilejowanych minie, a inwestorzy „odzyskają optymizm”. Nieuchronność tego zjawiska wywiera decydujący wpływ na politykę – a gdy sytuacja wymyka się spod kontroli, w rezerwie pozostaje siła militarna, wspierana lub aplikowana bezpośrednio przez stróża ładu z Północy. Mówiąc brutalnie: dopóki interesy możnych i bogatych nie zostaną zaspokojone, wszyscy będą cierpieć. Moźni i bogaci trzymają w garści społeczne dźwignie. To oni decydują, co będzie produkowane i co będzie konsumowane, i tylko od

nich zależy, ile okrucieństw spadnie z talerza poddanym. Jak z tego wynika, każdy bezdomny nędzarz musi przede wszystkim zadbać o to, by bogaci mogli wieść dostatnie życie w swoich pałacach. Ten zasadniczy czynnik – w połączeniu z kontrolą dostępu do zasobów – surowo ogranicza siłę po stronie rządzonych, a przez to osłabia znaczenie paradoksu Hume’a w dobrze funkcjonujących demokracjach kapitalistycznych o zatamizowanym i wewnętrznie podzielonym społeczeństwie.

Te podstawowe uwarunkowania – pojmowane świadomie lub tylko intuicyjnie – od dawna stanowią polityczny drogowskaz. Gdy ludowe organizacje zostały rozproszone lub rozbite, a klasy posiadające i zarządzające pewną ręką dzierżą ster władzy decyzyjnej, pewne formy demokracji stają się dopuszczalne, a nawet preferowane jako mechanizmy legitymizowania władzy elit sprawowanej „demokratycznie” pod dyktando biznesu. Ten model przyświecał amerykańskim planistom przy rekonstrukcji państw uprzemysłowionych po II wojnie światowej, a w krajach Trzeciego Świata jest wręcz standardowym wzorcem postępowania, chociaż tam utrzymanie pożądanej stabilności bez odwoływania się do terroru państwowego jest o wiele trudniejszym zadaniem. Gdy porządek społeczny już ustanowiono i trwale zabezpieczono, jednostka, która musi znaleźć w nim dla siebie (względnie autonomiczne) miejsce, aby przeżyć, będzie myśleć jego myślami, zaakceptuje nieuchronność pewnych form zwierzchnictwa i dostosuje się do jego celów. Koszt wybrania alternatywnej ścieżki albo stawiania oporu władzy jest wysoki, dostępne zasoby są skąpe, a perspektywy – ograniczone. Te względy miały zastosowanie w społeczeństwach niewolniczych i feudalnych, gdzie ich skuteczność słusznie podziwiali teoretycy ludowych rebelii. W społeczeństwach wolnych przejawiają się w inny sposób. Gdy ich zdolność do kształtowania postaw słabnie, władza musi sięgnąć po inne środki poskramiania społeczeństwa.

Mając po swojej stronie siłę, rządzący mogą polegać na stosunkowo prymitywnych metodach urabiania przyzwolenia i nie muszą zanadto przejmować się tym, co myśli stado. Ale problem sformułowany przez Hume’a dotyczy nawet państw opartych na brutalnym terrorze. Różne formy terroru państwowego opracowane przez USA na użytek państw klienckich często zawierały przynajmniej ukłon w stronę „zjednywania serc i umysłów”, chociaż eksperci przestrzegają tu przed zbytnim sentymentalizmem, twierdząc, że „wszelkie dylematy są wyłącznie praktycznej natury, a w sensie etycznym są równie neutralne co prawa fizyki”. Podzielały ten punkt widzenia nazistowskie Niemcy, o czym Albert Speer pisze w swojej biografii; podobnie Związek Radziecki pod rządami Stalina. Historyk Alexander Gerschenkron zauważa, że „niezależnie od tego, jak potężną armią dysponuje rząd i jak wszechwładna jest jego tajna policja, byłoby naiwnością sądzić, że te narzędzia fizycznej represji są wystarczające. Taki rząd utrzyma się przy władzy tylko wtedy, gdy przekona obywateli, że pełni społecznie ważną funkcję, która nie będzie realizowana, gdy rządu zabraknie. W Związku Radzieckim taką funkcją okazała się industrializacja, a dzięki niej rząd mógł pozwolić sobie na znacznie więcej niż jakakolwiek władza opierająca się na przyzwoleniu rządzonych (...) A jednak, choć zabrzmi to paradoksalnie, ta właśnie polityka zapewniła szerokie społeczne przyzwolenie. Kiedy wszystkie społeczne siły są zaangażowane w wielki proces uprzemysłowienia, a uprzemysłowienie można uzasadnić obietnicą szczęścia

i dostatku przyszłych pokoleń oraz – co znacznie ważniejsze – zagrożeniem militarnym ze strony obcych mocarstw, dyktatorska władza nie napotyka znaczącego oporu.”

Tę tezę zdaje się potwierdzać nadzwyczaj szybki rozpad radzieckiego systemu, który nastąpił, gdy stało się jasne, że nie jest zdolny przejść do bardziej zaawansowanej fazy rozwoju technicznego i przemysłowego.

Kryterium pragmatyczne

Trzeba mieć świadomość, jak głęboko w tłumienie wolności i demokracji, w razie potrzeby z użyciem przemocy, jest zaangażowana opinia publiczna Zachodu. Aby zrozumieć własną kulturę, musimy dostrzec, że w całym spektrum politycznym istnieje wyraźne, jawne i pryncypialne poparcie dla terroru. Przytaczanie myśli Jeane Kirkpatrick, George’a Willa i innych przedstawicieli konserwatywnej prawicy jest w tym miejscu zbędne. Jednak to samo nastawienie jest obecne na „wpływowej lewicy” (by użyć sformułowania redaktora *Foreign Policy* Charlesa Williama Maynesa, zaczerpniętego z jego pisanego pochwaleńczego dla amerykańskiej „krucjaty szerzenia demokracji”).

Oto co mówi komentator polityczny Michael Kinsley, reprezentujący „lewicę” w telewizyjnych i prasowych debatach. Kiedy Departament Stanu potwierdził wsparcie Stanów Zjednoczonych dla ataków terrorystycznych na spółdzielnie rolnicze w Nikaragui, Kinsley napisał, że nie należy potępiać tej polityki zbyt pospiesznie. Przyznał, że takie międzynarodowe akcje terrorystyczne „przysparzają wielu cierpień ludności cywilnej”. Jeśli jednak w efekcie tych działań uda się „podkopać morale i zaufanie do rządu”, wówczas mogą one okazać się „w pełni uzasadnione”. Polityka taka jest „racjonalna”, o ile „analiza kosztów i strat” wykaże, że „wydatek cierpienia i przelanej krwi” zwróci się w postaci „demokracji” (w konwencjonalnym, omówionym wcześniej sensie tego słowa).

Jako rzecznik lewicowego establishmentu Kinsley uważa, że terror musi spełniać kryterium pragmatyczne: nie wolno stosować przemocy dla niej samej – tylko dlatego, że sprawia nam to przyjemność. Na taką koncepcję przemocy z ludzką twarzą skwapliwie przystałby Saddam Husajn, Abu Nidal i porywacze z Hezbollahu, którzy najpewniej zgadzają się, że terror nie jest potrzebny, o ile nie przyczynia się do realizacji założonych celów. Te fakty pomagają umiejscowić stanowisko oświeconego Zachodu w spektrum opinii międzynarodowej.

Racjonalne usprawiedliwianie terroru nie jest ani trochę niezwykle i dlatego nie prowokuje żadnej reakcji poważanych kręgów. Z tej samej przyczyny liberalno-lewicowi komentatorzy i ich czytelnicy nie odezwali się słowem, gdy dwutygodnik *The New Republic*, powszechnie uznawany za wzór cnót amerykańskiego liberalizmu, zaleca udzielenie pomocy wojskowej „latynoskim faszystom (...) niezależnie od liczby ofiar, jakie to pociągnie”, ponieważ „Ameryka ma ważniejsze priorytety niż prawa człowieka w Salwadorze”.

Uznanie dla „zbawiennej skuteczności” terroru (jak wyraził się prezydent John Quincy Adams) jest stałym elementem oświeconej myśli Zachodu. Na nim właśnie zasadzała się kampania propagandowa rozpętana wobec fali międzynarodowego terroryzmu w latach

osiemdziesiątych. To oczywiste, że akty terroru przeciwko nam i naszym sojusznikom spotykają się z potępieniem jako powrót do ery barbarzyństwa. Ale terror znacznie bardziej brutalny, którego sprawcami jesteśmy my i wykonawcy naszej woli, uważamy za konstruktywny, a w najgorszym razie za nieistotny, o ile spełnia kryterium pragmatyczne. Nawet potężna kampania terroru, jaką administracja prezydenta Kennedy'ego rozpętała przeciwko Kubie, i której brutalność znacznie przewyższała wszelkie przewiny naszych oficjalnie wyznaczonych wrogów, praktycznie nie istnieje w akceptowanym dyskursie akademickim ani w mediach głównego nurtu. W kanonicznym i szeroko respektowanym studium międzynarodowego terroryzmu Walter Laqueur insynuacjami i bez cienia dowodu zalicza Kubę do sponsorów zbrodni, za to międzynarodowemu terroryzmowi wymierzonemu w Kubę nie poświęca ani słowa. Twierdzi wręcz, że Kuba jest państwem „wolnym od terroru”.

Przewodnia zasada jest prosta i jasna: akty terroru popełniane przez nich są godne potępienia; wystarczy najlichsza poszlaka, aby je napiętnować i wziąć odwet na przypadkowej ludności cywilnej. Terror popełniany przez nas, choćby znacznie bardziej bezwzględny, to tylko element polityki zagranicznej państwa i nie ma dla niego miejsca w debacie o problemach współczesności. Przedstawiona wcześniej doktryna pozwala to bez trudu zrozumieć.

Według tych samych kryteriów osądza się najkrwawsze masakry: popełnione przez nich są zbrodniami; popełnione przez nas są umiejętnie prowadzoną polityką lub błędem popełnionym w dobrej wierze. Prowadząc dekadę temu badania nad amerykańską władzą i ideologią, Edward Herman i ja przeanalizowaliśmy liczne przykłady dwóch rodzajów masakr. Jedne masakry są „nieszkodliwe i konstruktywne”, akceptowalne lub nawet sprzyjające interesom dominujących sił; inne z kolei są „nikczemne”, a dopuszczają się ich nasi oficjalni wrogowie. Oficjalna reakcja na masakry tych dwóch rodzajów jest analogiczna do reakcji na akty terroru. Te pierwsze się bagatelizuje, zaprzecza się im, a niekiedy nawet się im przyklaskuje. Te drugie pociągają za sobą fale oburzenia, a często także całe kampanie dezinformacji i fałszu, jeśli materiały dowodowe wydają się za słabe, by odpowiadały wymogom doktryny.

Polityczne narzędzia takie jak wywołanie masowego głodu zawsze uważano za w pełni zasadne, o ile spełniały kryterium pragmatyczne. Jako dyrektor programu pomocy humanitarnej dla głodujących w Europie po II wojnie światowej, Herbert Hoover doradzał prezydentowi Wilsonowi, że „cienki strumyk dostaw żywności” zagwarantuje utrzymanie się przy władzy elementów antybolszewickich. Gdy mu doniesiono, że austriacki ruch robotniczy planuje wielką manifestację pierwszomajową, Hoover wydał ostrzeżenie, że każdy taki akt zagrozi odcięciem miasta od zaopatrzenia w żywność. Dostaw żywności pozbawiono Węgry pod przywództwem komunisty Béli Kuna, obiecując jednocześnie, że zostaną wznowione, gdy władzę w kraju obejmie taki rząd, jaki Stany Zjednoczone będą skłonne zaakceptować. W obliczu tej ekonomicznej blokady i zagrożenia militarnego ze strony Rumunii Kun oddał władzę i uciekł do Moskwy. Rumuńskie wojsko, wspierane przez siły brytyjskie i francuskie, połączyło siły z węgierskimi kontrrewolucjonistami, by zaaplikować dawkę „białego” terroru i zainstalować prawicową dyktaturę admirała Horthy'ego. Ten we współpracy z Hitlerem dokończył rzeź bolszewickich hord. Widmo śmierci głodowej

pomogło także kupić przełomowe wybory z 1948 roku we Włoszech, a w 1990 roku – przekształcić Nikaragwę w państwo klienckie Stanów Zjednoczonych.

Decydującą rolę kryterium pragmatycznego łatwo dostrzec, przyglądając się debacie na temat Ameryki Środkowej w latach osiemdziesiątych. Wydarzenia w Gwatemali nie wywoływały oburzenia, bo masowa rzeź i represje okazywały się skuteczne. Z początku pewnych trudności nastroczał tamtejszy Kościół, ale – jak pisze Kenneth Freed w Los Angeles Times – „zamordowanie przez wojsko 14 księży i setek świeckich pracowników kościelnych odwiodło Kościół od popierania lewicowych postulatów takich jak podwyżki płac i zaprzestanie wyzysku rdzennej ludności indiańskiej”. Skutecznie zastraszonego Kościoła „zamilkł niemal całkowicie” po tym wydarzeniu. Wówczas „zaprzestano fizycznego zastraszania”, bo kryterium pragmatyczne zostało zaspokojone. Terror nasilił się ponownie, gdy Stany Zjednoczone postanowiły zaprowadzić w kraju „demokrację”. Jak zauważa pewien europejski dyplomata, „ofiarami padają przede wszystkim ludzie, którzy swymi przekonaniami lub działaniami pomagają innym wyzwolić się z ograniczeń narzuconych im przez tych, którzy ustanawiają porządek polityczny lub ekonomiczny” – będzie to na przykład „lekarz, który leczy dzieci ubogich rodziców”, a przez to „narusza właściwy porządek rzeczy”. Siły bezpieczeństwa i szwadrony śmierci w tej „raczkującej demokracji” kontrolowały sytuację, zatem USA nie widziały powodu do niepokoju i takiego niepokoju praktycznie nie wyrażały.

Przez całą ponurą dekadę brutalnych represji liberalni humaniści lubili uchodzić za krytyków środkowoamerykańskiego terroru państwowego, wspieranego amerykańską przemocą. To jednak tylko pozory, czego dowodzi oczekiwanie, niemal jednomyślne w poważnych kręgach, że w Nikaragui należy przywrócić właściwy jej „model środkowoamerykański” (z nieodłącznymi szwadronami śmierci), a USA i ich zbrodnicze państwa klienckie muszą narzucić zbłąkanym sandinistom „właściwe dla regionu standardy”, znane z Salwadoru i Gwatemali.

Widzimy już, że Hume’a koncepcję władzy należy doprecyzować. To prawda: kiedy brak środków siłowych, a standardowe represje nie wystarczają, zachodzi konieczność urabiania przyzwolenia. Ludność zachodnich państw demokratycznych – a przynajmniej ta jej część, która potrafi się bronić – jest nietykalna. Wszystkich innych można bez skrupułów poddawać wszelkim represjom, a w krajach Trzeciego Świata uzasadnione jest także stosowanie masowych kampanii terroru, choć liberalne sumienie podpowiada w tym przypadku, że działania takie muszą być skuteczne. Mąż stanu – w odróżnieniu od przywiązanego do swej ideologii fanatyka – rozumie, że przemoc należy stosować w sposób umiarkowany i rozważny oraz w takiej tylko dawce, która pozwoli osiągnąć zamierzony cel.

Zakres środków

Kryterium pragmatyczne nakazuje uciekać się do przemocy wyłącznie wtedy, gdy nie ma innych środków zapanowania nad awanturniczym pospółstwem. Zazwyczaj jednak istnieją inne sposoby. Pewien ekspert korporacji RAND ds. pacyfikacji ludowych buntów z po-

dziwem pisał, że „tam, gdzie nadal panują stosunki bliskie feudalnym, ubodzy chłopci są dość potulni, a obszarnicy umieją rządzić twardą ręką. (...) Obszarnik wywiera przemożny wpływ na zachowanie chłopów dzierżawiących jego ziemię i szybko zniechęca ich do działań sprzecznych z jego interesami”. Dopiero gdy chłopci przestają być potulni, choćby pod wpływem wścibskiego kleru, trzeba uciekać się do ostrzejszych metod.

Kto nie chce stosować bezpośredniej przemocy, może uciec się do szykan prawnych. Stany Zjednoczone tolerowały rządy socjaldemokratów w Kostaryce, dopóki ruch pracowniczy był tam skutecznie tłumiony, a prawa inwestorów pozostawały pod szczególną ochroną. Założyciel kostarykańskiej demokracji, José Figueres, był wielkim entuzjastą amerykańskich korporacji i Centralnej Agencji Wywiadowczej. W Departamencie Stanu uchodził za „najlepszą agencję reklamową, na jaką koncern United Fruit Company mógł trafić w Ameryce Łacińskiej”. Ale w latach osiemdziesiątych ten środkowoamerykański demokrat popadł w niełaskę i trzeba go było wymazać z kart wolnej prasy. Zasłużył sobie na to krytycznym stosunkiem do wojny, jaką USA rozpętały w Nikaragui, oraz oporem wobec Waszyngtonu, który postanowił na powrót włączyć Kostarykę do preferowanego „modelu środkowoamerykańskiego”. Nawet pełne zachwyty artykuły redakcyjne i obszernie nekrologi, jakimi *New York Times* żegnał tego „bojownika o demokrację”, gdy zmarł w czerwcu 1990 roku, obchodziły te kłopotliwe odstępstwa szerokim łukiem.

Nieco wcześniej, jeszcze jako pupil Ameryki, Figueres dostrzegł zagrożenie ze strony Komunistycznej Partii Kostaryki, szczególnie silnej wśród robotników na plantacjach. Nie zamierzał go tolerować. Kazał aresztować przywódców, zdelegalizował partię i wszczął prześladowania jej członków. Aż do końca lat sześćdziesiątych w Kostaryce nie miała prawa powstać żadna partia reprezentująca interesy klasy robotniczej. Figueres otwarcie wyjaśniał tę politykę: była to „oznaka słabości. Nie ukrywam tego, bo gdy jest się słabszym od przeciwnika, trzeba mieć odwagę to przyznać”. Zachód przyjmował te wyjaśnienia ze zrozumieniem i nie dopatrywał się w nich sprzeczności z liberalnym rozumieniem demokracji. Przeciwnie: gdyby nie polityczne represje tego rodzaju, Stany Zjednoczone nie tolerowałyby „kostarykańskiego wyjątku” ani przez chwilę.

Bywa jednak, że ludowy wróg jest zbyt silny, a prawne represje nie wystarczają. Świątełko alarmowe zapala się, gdy polityka zaczyna się wymykać spod kontroli elitom, obszarnikom i szanującemu amerykańskie interesy wojsku. Już pierwsze oznaki zbaczania z kursu wymagają zdecydowanej reakcji – tak jak to miało miejsce w Ameryce Środkowej w latach osiemdziesiątych. Szersze ramy tego mechanizmu nakreślił o. Ignacio Martín-Baró, jeden z zamordowanych w listopadzie 1989 r. jezuitów i ceniony w Salwadorze psycholog społeczny, w wykładzie pt. „Psychologiczne konsekwencje terroru politycznego”, jaki wygłosił w Kalifornii na kilka miesięcy przed śmiercią. Podkreślił w nim kilka istotnych kwestii. Po pierwsze, najbardziej rozpowszechnioną formą terroru jest terror państwowy, czyli „systematyczne działania aparatu państwowego, których celem jest sterroryzowanie całej ludności”. Po drugie, tego rodzaju terror stanowi nieodzowny element „narzuconego przez władze projektu społeczno-politycznego”, który ma służyć potrzebom klas uprzywilejowanych. Realizacja tego projektu wymaga „sterroryzowania ludności przez uwewnętrzniony strach”. Po trzecie, zarówno ten społeczno-polityczny projekt, jak i terror państwowy,

który pomaga wdrażać go w Salwadorze, nie są niczym wyjątkowym, ale stanowią typowe atrybuty krajów Trzeciego Świata pod amerykańską dominacją. Przyczyny tego stanu rzeczy są głęboko zakorzenione w kulturze Zachodu, w jego instytucjach i planowaniu strategicznym; nie ma żadnej sprzeczności między nimi a oświeceniowymi wartościami, jakie Zachód wyznaje. Terror napotyka jednak na ograniczenie, jakim jest kryterium pragmatyczne. Dlatego, zwracał uwagę Martín-Baró, „masowa kampania terroru politycznego” w Salwadorze zelżała nieco, gdy „społeczeństwo sparaliżowano strachem w takim stopniu, że nadzwyczajne środki nie były już niezbędne”.

W referacie o mass mediach i opinii publicznej, jaki miał wygłosić na konferencji w grudniu 1989 roku (miesiąc po tym, jak został zamordowany), Martín-Baró pisał, że realizując swój kontrrewolucyjny projekt, Stany Zjednoczone „kładą nacisk jedynie na formalny wymiar demokracji”, a środki masowego przekazu stanowią w nim narzędzie „wojny psychologicznej”. Siły bezpieczeństwa Salwadoru już dziesięć lat wcześniej zlikwidowały małe, niezależne czasopisma, probiznesowe i w pełni mieszczące się w głównym nurcie opinii, a mimo to nie dość zdyscyplinowane z punktu widzenia rządzących. Dokonano tego standardowym, sprawnym arsenałem: aresztowaniami, zabójstwami i niszczeniem mienia. Wydarzenia te, jako mało znaczące, nie doczekały się relacji w amerykańskiej prasie. W nieopublikowanym referacie Martín-Baró przedstawił sondaż opinii publicznej, z którego wynika, że wśród robotników, niższej klasy średniej i najuboższych jedynie 20 procent ankietowanych ma poczucie, że może swobodnie wypowiadać swoje zdanie na forum publicznym. W najbogatszej warstwie ludności ten odsetek wynosi 40 procent. To kolejne świadectwo zbawiennej skuteczności terroru i kolejny sukces, „z którego wszyscy Amerykanie mogą być dumni” – tymi słowami George Schultz zachwalał nasze osiągnięcia w Salwadorze.

Gdy włoscy faszyci aresztowali Antonio Gramsciego, prokurator tak podsumował akt oskarżenia: „Ten umysł nie może pracować przez najbliższe dwadzieścia lat”. Dziś nie narzucamy sobie takich ograniczeń: umysły zatrzymuje się raz na zawsze, a my zgodnie uznajemy, że będzie lepiej, jeśli nikt się nie dowie, co te umysły miały do powiedzenia w kwestiach takich jak terror państwowy.

Efekty amerykańskich szkoleń wojskowych przedstawia obszerna dokumentacja, zgromadzona przez organizacje działające na rzecz praw człowieka i przez Kościół w Salwadorze. Daniel Santiago, katolicki ksiądz z Salwadoru, zamieszcza drastyczne opisy w jezuickim periodyku *América*. Przytacza na przykład historię wieśniaczki, która pewnego dnia zastała w domu swoją matkę, siostrę i troje dzieci posadzonych przy stole. Obciętą głowę każdego z nich oprawcy z Gwardii Narodowej Salwadoru ustawili na blacie stołu, nakrytą martwymi dłońmi, „jak gdyby każde ciało głaskało się po głowie”. Główka osiemnastomiesięcznego dziecka najwyraźniej staczała się ze stołu, więc by ją unieruchomić, zabójcy przybili do niej dłonie gwoździami. Pośrodku stołu, jakby tego było mało, ustawili plastikową miskę wypełnioną krwią.

O. Santiago pisze, że wojsko rozmyślnie urządza tak makabryczne sceny dla zastraszenia ludności. „Szwadrony śmierci w Salwadorze nie ograniczają się do zabijania swoich ofiar, ale ucinają im głowy i zatykają je na drzewcach, które sterczą z ziemi po widnokrąg. Policja skarbowa w Salwadorze nie ogranicza się do patroszenia mężczyzn, ale obcina im

genitalia i wpycha je do ust. Gwardia Narodowa w Salwadorze nie ogranicza się do gwałcenia kobiet, ale wycina im z brzucha macice i naciąga na twarz. Nie wystarczy zabić dzieci; trzeba je przeciągnąć po drucie kolczastym na oczach rodziców, aż ciało odpadnie od kości. Estetyka terroru w Salwadorze ma wymiar religijny.” Jednostka ma być w pełni podporządkowana interesom Ojczyzny – dlatego rządząca partia ARENA nazywa szwadrony śmierci „Armią Ocalenia Narodowego”, a członkowie partii (w tym prezydent Cristiani) składają ślubowanie przed „dożywotnim przywódcą” Roberto d’Aubuissonem i pieczętują je krwią.

Urzednicy amerykańskiej administracji nieustannie uskarżają się, że kraje Ameryki Łacińskiej są zbyt permissywne, zbyt otwarte, zanadto przywiązane do swobód obywatelskich, że nie dość stanowczo ograniczają rozpowszechnianie informacji, a przede wszystkim nie dość skwapliwie wdrażają amerykańskie standardy polityki społecznej – a przez to pozwalają, by opozycja rozwijała się, a jej głos docierał do ludowych mas.

W samych Stanach Zjednoczonych nawet niewielkie ugrupowania są narażone na surowe represje, jeśli ich społeczny zasięg wydaje się nadmiernie rosnąć. Podczas policyjnej kampanii przeciwko Czarnym Panterom – która obejmowała m.in. zabójstwa i prowokowanie zamieszek w „czarnych” dzielnicach – FBI szacowało, że trzon ugrupowania stanowi nie więcej niż 800 osób. Złowieszczy ton brzmiał dopiero w konstatacji, że „około 25 procent czarnych darzy Partię Czarnych Panter wielkim szacunkiem, a w tej liczbie 43 procent to ludzie młodzi przed 21. rokiem życia”. Represyjne siły państwa wszczęły kampanię przemocy i siania zamętu, by nie pozwolić Panterom rozwinąć się w znaczącą siłę społeczną czy polityczną. Kampania powiodła się. Organizację zdziesiątkowano, a ostatni wierni jej członkowie popadli w autodestrukcję. W tych samych latach trwała operacja FBI przeciwko Nowej Lewicy, motywowana podobnymi obawami. Ten sam dokument wywiadu wewnętrznego przestrzega, że „ruch zbuntowanej młodzieży znany jako «Nowa Lewica», w którym uczestniczy lub pod którego wpływem pozostaje wielu studentów uczelni wyższych, silnie oddziałuje na społeczeństwo, a potencjalnie może wywołać poważne konflikty wewnętrzne. Nowa Lewica stawia sobie „rewolucyjne cele” i „identyfikuje się z marksizmem-leninizmem”. Nie zdołała „przejąć środków masowego przekazu ani podkopać zaufania do nich”, ale „przenika do warstw pracujących i je radykalizuje”, a ponadto stworzyła „rozległą sieć publikacji podziemnych, które służą jako kanał komunikacji i zewnętrznej propagandy”. Wszystko to razem zagraża „cywilnemu sektorowi społeczeństwa”, a państwowy aparat bezpieczeństwa musi zapobiec rozprzestrzenianiu się tego zagrożenia.

Niejednego można się dowiedzieć, przeglądając repertuar środków zaradczych. By pozostać przy Ameryce Łacińskiej, zwróćmy uwagę na to, jak w Chile usunięto z urzędu prezydenta Allende. Operacja ta przebiegała dwutorowo. Druga ścieżka, tak zwana twarda, zmierzała do wojskowego zamachu stanu. O jej istnieniu nie wiedział nawet ambasador Edward Korry, demokrata z ekipy Kennedy’ego, któremu powierzono realizację ścieżki pierwszej, „miękkiej”. Według słów samego Korry’ego, ścieżka miękka polegała na tym, by „wszelkimi dostępnymi środkami wywołać w Chile głód i skrajną nędzę. Była to długofalowo zaplanowana polityka, która miała nasilić bolączki komunistycznego systemu rządów w Chile”. Miękka ścieżka była przedłużeniem wieloletnich starań CIA o przejęcie

kontroli nad chilijską demokracją. O poziomie zaangażowania agencji niech świadczy fakt, że próbując storpedować kandydaturę Allende w 1964 roku CIA wydała dwukrotnie większą kwotę na każdego chilijskiego wyborcę niż łącznie wydali Republikanie i Demokraci podczas wyborów w USA w tym samym roku. Podobnie ma się sprawa w przypadku Kuby. Administracja Eisenhowera planowała bezpośredni atak zbrojny, podczas gdy wiceprezydent Nixon, realizując „miękką ścieżkę”, na tajnej naradzie w czerwcu 1960 roku wyrażał niepokój, że – jak donosił raport CIA – „sytuacja gospodarcza nie pogorszyła się znacząco od obalenia reżimu Batisty” i zalecał podjęcie niezwłocznych działań, które „wywrą na Kubę większą presję ekonomiczną”.

Spójrzmy na jeszcze inny pouczający przypadek. W 1949 roku CIA wskazała dwa „niestabilne obszary” w Ameryce Łacińskiej: Boliwię i Gwatemalę. Administracja Eisenhowera wybrała twardą linię obalenia kapitalistycznej demokracji w Gwatemali, ale poprzestała na miękkiej sile wobec rewolucji boliwijskiej, która cieszyła się poparciem Partii Komunistycznej i radykalnie nastawionych górników w kopalniach cyny – choć rewolucjoniści posunęli się do wywłaszczenia, zorganizowali konferencję pokojową i jak ostrzegał sprzyjający prawicy arcybiskup, „podburzali Indian w hacjendach i w kopalniach”. Biały Dom uznał, że najlepszą taktyką będzie wspieranie najmniej radykalnych elementów, a mechanizmy nacisku, jakimi dysponują USA, w tym dominująca pozycja na rynku cyny, wystarczająco, by pohamować niepożądany bieg wypadków. Jak twierdził sekretarz stanu John Foster Dulles, miał to być najskuteczniejszy sposób, by zapobiec rozprzestrzenianiu się „komunistycznej zarazy w Ameryce Południowej”. Zgodnie ze standardowym repertuarem środków zaradczych USA przejęły kontrolę nad armią boliwijską, wyposażyły ją w nowoczesny sprzęt bojowy, a setki oficerów wysłały do „szkoły zamachów stanu” w Panamie. Wkrótce Boliwia znalazła się pod całkowitą kontrolą USA. W 1953 roku amerykańska Rada Bezpieczeństwa Narodowego odnotowała znaczną poprawę „klimatu dla inwestycji prywatnych”, która polegała m.in. na tym, że „zezwolono prywatnemu podmiotowi amerykańskiemu na eksploatację dwóch złóż ropy naftowej”.

W 1964 roku miał miejsce pierwszy zamach stanu. Przy kolejnym, w 1980 roku, asystował Klaus Barbie, którego wysłano do Boliwii, kiedy dłużej nie można było już chronić go we Francji, gdzie pracował pod kontrolą amerykańską po to, aby represjonować antyfaszystowski ruch oporu, tak jak czynił to pod rządami nazistów. Według raportu opublikowanego niedawno przez UNICEF w Boliwii jedno dziecko na troje umiera w pierwszym roku życia. Dlatego, chociaż Boliwia cieszy się najwyższym wskaźnikiem urodzeń w całej Ameryce Łacińskiej, tempo przyrostu naturalnego jest tam najniższe. Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) szacuje, że w Boliwii przeciętnie spożywa się 78 procent minimalnego dziennego zapotrzebowania na kalorie i białko, a ponad połowa dzieci cierpi na niedożywienie. 25 procent aktywnej zawodowo ludności nie może znaleźć zatrudnienia, a dalsze 40 procent pracuje w „sektorze nieformalnym” (np. w przemyśle i obrocie narkotykami). Sytuację w Gwatemali omówiliśmy już wcześniej.

Warto zatrzymać się przy kilku zagadnieniach. Po pierwsze, skutki twardej linii w Gwatemali i miękkiej w Boliwii okazały się zbliżone. Po drugie, obie polityczne strategie osiągnęły najważniejszy cel: powstrzymały rozprzestrzenianie się „komunistycznej zarazy” i

„ultranacjonalizmu”. Po trzecie, oba warianty polityki najwyraźniej uważa się za najzupełniej właściwe i uzasadnione. W przypadku Boliwii dowodzi tego zupełny brak zainteresowania wydarzeniami, jakie od tamtej pory miały tam miejsce (ewentualnie poza kosztami, jakich handel narkotykowy przysparza Stanom Zjednoczonym). W przypadku Gwatemali świadczy o tym interwencja administracji Kennedy’ego, która udaremniła demokratyczne wybory w tym kraju, bezpośredni udział USA (za prezydentury Lyndona Johnsona) w krwawej pacyfikacji ludowego buntu, dostawy broni do Gwatemali trwające aż do końca lat siedemdziesiątych (i kontynuowane przez Izrael, gdy Kongres ukroił te praktyki), entuzjastyczne wsparcie USA dla dokonanych w latach osiemdziesiątych zbrodni, których okrucieństwo wykracza nawet poza straszną gwatemalską normę, a wreszcie aprobatą dla „młodej demokracji”, którą rządząca krajem junta wojskowa obecnie toleruje, by móc czerpać z pomocy finansowej Kongresu. W najlepszym razie wszystkie te historie uznaje się – jak to czyni Stephen Kinzer – za „nieprzyjemne epizody” i „błędy” (które jakimś cudem osiągnęły wszystkie najważniejsze cele), ale nic ponad to. Po czwarte, twardą i miękką linię realizowali ci sami ludzie w tym samym czasie, co pokazuje, że różnice między tymi dwoma podejściami są czysto taktyczne, a oba są podporządkowane tej samej nadrzędnej zasadzie. Wszystko to razem pozwala lepiej zrozumieć polityczną praktykę oraz kulturę polityczną, z jakiej ona wyrasta.

Niepokorne masy

Sformułowany przez Hume’a paradoks władzy opiera się na założeniu, że nieodzownym składnikiem natury ludzkiej jest dążenie, które Bakunin nazywał „instynktem wolności”. Filozof wyrażał zdumienie, że instynkt ten nie popycha ludzi do działania. Z tego samego powodu Rousseau ubolewał nad losem człowieka, który „rodzi się wolny, a wszędzie tkwi w kajdanach”, uwiedziony iluzją społeczeństwa obywatelskiego, jaką klasy posiadające stworzyły na jego użytek, by móc go bezkarnie łupić. Niektórzy mogą przyjąć to założenie jako jedno z „naturalnych przekonań”, jakimi kierują się w myślach i w postępowaniu. Czyni się wysiłki, by instynkt wolności osadzić w jakiejś ukonkretnionej teorii natury ludzkiej. Nie są one niewarte zainteresowania, ale daleko im jeszcze do przekonujących wyników. Podobnie jak inne zasady wypływające ze zdrowego rozsądku, przekonanie to pozostaje normą regulatywną, którą przyjmujemy lub odrzucamy na wiarę. Ale nasz wybór w tej materii może mieć dalekosiężne skutki dla nas samych i dla wielu innych ludzi.

Komu bliska jest zdroworozsądkowa zasada, że wolność jest naturalnym prawem i elementarną potrzebą człowieka, ten zgodzi się z Bertrande Russelllem, że „najwyższym ideałem, do którego ludzkość powinna dążyć” jest anarchizm. Struktury hierarchii i dominacji nie mają elementarnej racji bytu. Uzasadniać je można tylko koniecznością chwili, a ten argument rzadko wytrzymuje konfrontację z faktami. Jak Russell zauważył przed 70 laty, „stare okowy władzy” niosą nikły pożytek. Ludzie domagają się przekonujących powodów, zanim wyzbędą się swoich praw, „a powody im przedstawiane są fałszywe i przekonują jedynie tych, którym własny interes podpowiada, że warto dać się przekonać”.

Gotowość do buntu, kontynuował Russell, „narasta w kobietach przeciwko mężczyznom, w uciemżonych narodach przeciwko ciemężycielom, a ponad wszystko w robotnikach przeciw kapitałowi. Jak pokazuje cała dotychczasowa historia, taki stan rzeczy niesie wielkie niebezpieczeństwo, ale i wielką nadzieję”.

Częścią odpowiedzialności za nasz nawyk uległości Russell obciąża represyjne praktyki w szkolnictwie. Jego poglądy przywodzą na myśl pisma pewnych filozofów z XVII i XVIII wieku – ich zdaniem umysł nie jest naczyniem, które wypełnia się pochodzącą z zewnątrz wiedzą, lecz „trzeba go rozbudzić, rozniecić jak ogień”. „Zdobywanie wiedzy przypomina dojrzewanie owocu. Choć warunki zewnętrzne mają w nim niejaki udział, to siła witalna i walory samego drzewa nadają sokom należytą dojrzałość”. Podobne myślenie leży u podstaw oświeceniowej koncepcji wolności politycznej i intelektualnej oraz pracy wyalienowanej, która nie pozwala robotnikowi dążyć do spełnienia własnych, wewnętrznych potrzeb, a czyni z niego narzędzie w ręku innych ludzi. Tę fundamentalną zasadę klasycznego liberalizmu od dawna zbywa się milczeniem, bo jej implikacje są zgoła rewolucyjne. Te idee i wartości nie straciły na swojej sile ani na znaczeniu, chociaż nie ma na świecie miejsca, w którym byłyby bliskie realizacji. Dopóki ten stan rzeczy trwa, wolnościowe rewolucje XVIII w. pozostają niedokończone i są jedynie wizją odległej przyszłości.

Wiarę w naturalny instynkt wolności potwierdza fakt, że jak dotąd żadne wysiłki zmierzające do poskromienia aspiracji ludu nie przyniosły spodziewanego efektu. Pospółstwo wciąż walczy o elementarne prawa człowieka. Z czasem pewne wolnościowe idee doczekały się częściowego urzeczywistnienia; niektóre udało się nawet upowszechnić. Niejedna ekstrawagancka idea XVII-wiecznych radykalnych demokratów wydaje się dziś najzupełniej oczywista, choć wiele innych do dziś leży poza naszym moralnym i intelektualnym zasięgiem.

Interesującym i znamienym przykładem jest walka o wolność słowa – elementarną, bo leżącą u podstaw całego systemu praw i swobód. Doniosłym pytaniem współczesności jest to, kiedy, jeśli w ogóle, państwo może ingerować w treść wypowiedzi. Jak już pisałem, nawet wielu wiodących przedstawicieli myśli wolnościowej przyjmowało w tej kwestii restrykcyjne podejście, obwarowane licznymi zastrzeżeniami. Jednym z istotnych punktów spornych jest kwestia propagowania treści „wywrotowych”. Karanie za słowo wymierzone w państwo to „znamienna cecha każdego społeczeństwa zamkniętego”, jak pisze historyk prawa Harry Kalven. Społeczeństwo, którego prawo zabrania publikowania antypaństwowych treści, nie jest wolne, choćby przestrzegało wszelkich innych swobód obywatelskich. Pod koniec XVII stulecia w Anglii za to przewinienie groziła kastracja, wypruwanie wnętrzności, ćwiartowanie i obcięcie głowy. Przez cały XVIII wiek panowała powszechna zgoda, że nie sposób utrzymać autorytetu władzy tam, gdzie wywrotowe treści dochodzą do głosu, a „każde zagrożenie dla dobrego imienia władzy, rzeczywiste czy domniemane” musi zostać odparte siłą (Leonard Levy). „Zwykłym ludziom nie dane jest sądzić lepszych od siebie (...), gdyż czyniłoby to wszelką władzę daremną”, pisał redaktor. Prawda nie ratowała od kary, przeciwnie: rzucanie prawdziwych oskarżeń uznawano za gorszą zbrodnię od fałszywych, bo zarzuty potwierdzone faktami tym dotkliwiej podrywały autorytet władzy.

W dzisiejszych, bardziej wolnościowych czasach można dostrzec podobną prawidłowość w podejściu do kontestacji. Fałszywe i absurdałne zarzuty nie stanowią poważnego problemu, ale tych perfidnych krytyków, którzy ujawniają niewygodną prawdę, odgradza się od społeczeństwa.

Również w amerykańskich koloniach karano za treści wywrotowe. Podczas rewolucji amerykańskiej bezwzględnie tępiono wszelką krytykę. Thomas Jefferson, czołowy myśliciel wolnościowy Ameryki, przyznawał, że „zdrada popełniona nie czynem, ale myślą” zasługuje na karę, i dopuszczał internowanie podejrzanych o polityczne odstępstwa. Podzielał zdanie innych ojców założycieli, że „słowa wiarołomne czy pozbawione należnego szacunku” i wymierzone w stanową lub federalną władzę należy tępić jak każde przestępstwo. „Podczas rewolucji” – pisze Leonard Levy – „Jefferson, podobnie jak Washington, Thomas Paine oraz John i Samuel Adamsowie, wyrażał przekonanie, że głębokich różnic poglądów w kwestii niepodległości nie wolno tolerować, a jedyną dopuszczalną postawą jest pełne podporządkowanie się patriotycznej sprawie. Rewolucję można było do woli chwalić, ale nie wolno było jej ganić”. Od wybuchu rewolucji Kongres Kontynentalny naciskał na poszczególne stany, by wprowadziły prawo, które zapobiegnie „szerzeniu błędnych opinii i mamieniu” społeczeństwa. Dopiero pod koniec ostatniej dekady XVIII w., gdy sami spotkali się z represjami, Jefferson i jego zwolennicy przyjęli bardziej wolnościową postawę w samoobronie. Ale gdy znaleźli się u władzy, ponownie ją porzucili.

Wolność słowa pozostawała nader krucha w Stanach Zjednoczonych aż do I wojny światowej, a dopiero w 1964 roku Sąd Najwyższy wykreślił zakaz publikowania treści wywrotowych z kodeksu. W 1969 uznał, że wolność słowa chroni każdą wypowiedź z wyjątkiem „bezpośredniego nawoływania do czynu bezprawnego”. Dwa stulecia po rewolucji sąd przyznał wreszcie rację Jeremy’emu Benthamowi, który w 1776 roku pisał, że w kraju ludzi wolnych „niezadowolonych” muszą mieć prawo „wyrażać swoje sympatie i antypatie, uzgadniać plany i podejmować wszelkie opozycyjne działania, a władza wykonawcza nie może ich w tych staraniach niepokoić, dopóki nie wszczynają otwartego buntu”. Sąd Najwyższy zajął więc w 1969 roku stanowisko w pełni wolnościowe, które – o ile mi wiadomo – nie ma podobnych na świecie. W Kanadzie na przykład, na mocy prawa ustanowionego w 1275 roku dla ochrony autorytetu króla, nadal można trafić do więzienia za rozpowszechnianie „fałszywych informacji”.

Europa jest pod tym względem jeszcze bardziej zacofana. Szczególnym przypadkiem jest Francja, przez uderzający kontrast między pełną samouwielbienia retoryką a represyjną praktyką – tak powszechną, że często niedostrzegalną. W Anglii prawo chroni wolność słowa w bardzo ograniczonym zakresie i dopuszcza nawet tak haniebne praktyki jak karanie bluźnierstwa. W tym kontekście warto zwrócić uwagę na sprawę Salmana Rushdiego, do której nader histerycznie odnieśli się konserwatyści. Rushdiego oskarżono o szerzenie treści wywrotowych i bluźnierstwo, ale sąd uznał, że zakaz bluźnierstwa obejmuje jedynie chrześcijaństwo, a islamu nie dotyczy, oraz że tylko publikacja „wymierzona w rząd bądź w jeden z organów rządu Jej Wysokości” kwalifikuje się jako wywrotowa. Tym samym sąd podtrzymał fundamentalną doktrynę ajatollaha Chomejniego, Stalina, Goebbelsa i innych wrogów wolności, uznając jednocześnie, że brytyjskie prawo chroni przed krytyką jedy-

nie władze własnego państwa. Wielu bez wątpienia przyznałoby rację Conorowi Cruise O'Brienowi, który w latach siedemdziesiątych XX wieku jako minister poczty i telegrafu w Irlandii znowelizował ustawę o radiofonii i telewizji tak, by jego resort mógł zabronić emisji wszelkich treści, które w ocenie ministra „podkopują autorytet państwa”.

Trzeba pamiętać, że wolności słowa nie ustanowiła w Stanach Zjednoczonych pierwsza poprawka do konstytucji; było to jedynie wynikiem długotrwałych i konsekwentnych wysiłków ruchu robotniczego, ruchu na rzecz praw obywatelskich i ruchu antywojennego (jak i wielu innych oddolnych grup nacisku) w latach sześćdziesiątych XX w. Jak mówił James Madison, „bariera z pergaminu” nie zdoła zapobiec tyranii. Praw nie ustanawia się słowami; zdobywa się je i utrzymuje w walce.

Warto też mieć na uwadze to, że zwyczajstwa poszerzające zakres wolności słowa zazwyczaj odnoszono w obronie skrajnie niemoralnych i odrażających poglądów. Wyrok amerykańskiego Sądu Najwyższego z 1969 roku wziął w obronę członków Ku Klux Klanu, którzy, uzbrojeni i przebrani w kaptury, podpalili krzyż i wznosili hasła nawołujące do „palenia czarnuchów” i „odesłania Żydów do Izraela”. W kwestii wolności słowa możliwe są w zasadzie dwa stanowiska: albo stanowczo broni się prawa do głoszenia nawet najbardziej odrażających poglądów, albo całkowicie odrzuca się wolność słowa na rzecz standardów stalinowsko-faszystowskich.

Czy instynkt wolności rzeczywiście istnieje? Tego nie wiemy. Jeśli istnieje, to historia uczy, że można go stępić, ale jak dotąd nie udało się go unicestwić. Na całym świecie ludzie walczą o wolność z odwagą i poświęceniem, a ich gotowość stawienia czoła brutalnej przemocy i terrorowi władzy jest wprost niezwykła. Świadomość społeczna z roku na rok powoli rośnie. Osiągnięto już cele, które wcześniej wydawały się tak utopijne, że nie warte zachodu. Niepoprawny optymista mógłby wskazać na ten fakt i żywić nadzieję, że w nowej dekadzie, a wkrótce w nowym stuleciu, ludzkość przezwycięży przynajmniej niektóre społeczne bolączki. Inni mogą wyciągnąć z tej samej historii zgoła przeciwne wnioski. Trudno o racjonalną podstawę dla utwierdzenia się w jednej lub drugiej perspektywie. Jak w przypadku wielu innych naturalnych przekonań, którymi kierujemy się w życiu, możemy jedynie wybrać te, które odpowiadają naszej intuicji i nadziei.

Konsekwencje tego wyboru nie są trudne do przewidzenia. Jeśli uznamy, że instynkt wolności nie istnieje, udowodnimy, że rodzaj ludzki jest tylko mutacją zmierzającą do samozagłady, ślepym zaułkiem ewolucji. Jeśli będziemy go pielęgnować, być może znajdziemy sposoby przezwyciężenia ogromnych ludzkich tragedii i problemów, których skala przekracza naszą wyobraźnię.

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Noam Chomsky
Siła i opinia

źródło: **Noam Chomsky**, esej „Force and Opinion”, opublikowany w „Z Magazine” z lipca-sierpnia 1991 r. *Tłumaczenie: Marek Jedliński. Polski przekład eseju ukazał się w 2019 r. nakładem Wydawnictwa Książka i Prasa.*

pl.anarchistlibraries.net